

„Hasło literatury środka powoduje, że mi gwałtownie rosną pazury i kły”

Z Jerzym Sosnowskim o tworzeniu i współczesnej literaturze
rozmawiają Katarzyna Bachtą i Paweł Urbaniak

Katarzyna Bachtą: – Do tej pory dał się Pan poznać przede wszystkim jako krytyk literacki, twórca powieści i opowiadań... Pana najnowsza książka jest zbiorem esejów. Dlaczego teraz esej?

Jerzy Sosnowski: – Kiedy pisze się książki fabularne, zwłaszcza gdy jest się polonistą z wykształcenia (a to mój przypadek), należy walczyć z mechanizmem, który w studencie polonistyki jest pracowicie wzbudzany przez kadrę, mianowicie że się podchodzi do książki (także własnej) z narzędziami, które pozwalają utwór zanalizować i od razu wiedzieć, dlaczego jest napisany tak a nie inaczej. W przypadku czytania książki, jeśli nie zabija radości czytania, jest to bardzo korzystne; jeśli zabija, to już trochę gorzej... Ale w przypadku pisania jest to zabójcze, bo wtedy łatwo przejść w ilustrowanie fabułą pewnych pomysłów formalnych czy pewnych idei. Tymczasem fabuła powinna rozwijać się w wyobraźni samodzielnie, powinna być suwerenna w swoim rozwoju. Kiedy książka jest gotowa, człowiek jednak uruchamia w sobie warsztat polonistyczny i zaczyna rozumieć, dlaczego tak a nie inaczej książkę napisał. W związku z tym pisanie ma charakter samopoznania. Po czterech książkach nagromadziło mi się trochę takich myśli, których pakowanie z powrotem w fabułę byłoby, jak sądzę, dosyć groźne, bo właśnie wtedy ta fabuła miałaby charakter ilustracji, o której wspomniałem. Ponadto bardzo ważna dla mnie osoba, której *Ach* (podobnie jak *Apokryf Agłai*) jest dedykowany, w dzienniku internetowym występująca pod imieniem Ukochanej, jest miłośniczką esejów, a wiecie Państwo... W tej materii doskonale wypowiedział się Stefan Chwin, który zapytany o to, dlaczego pisze książki,

odpowiadał, uśmiechając się promiennie do swojej żony, która siedziała na widowni, że po to, aby kolejny raz uwieść kobietę, z którą jest. Strasznie żałuję, że nie ja pierwszo do wymyśliłem. Cytat ten przytaczam, bo moje eseje poniekąd dla Agnieszki były pisane. Ona lubi eseje, więc chciałem jej pokazać, że ja też potrafię.

Paweł Urbaniak: – Czytając recenzje Pana wcześniejszych książek, mieliśmy wrażenie, że dość często pojawia się w nich określenie literatury środka. Starano się Pana twórczość umieszczać gdzieś w literaturze środka, przez którą recenzenci rozumieli literaturę, która aspirując do miana literatury wysokiej, czasami wykrytuje tanie chwytły fabularne. Czy użycie teraz formy eseju, który kojarzy się z literaturą wysoką, nie było jednak próbą ucieczki od etykiety pisarza literatury środka?

J.S.: – To w praktyce musi tak wyglądać i ja, jako podsądny, bardzo niewiele mam na swoją obronę. Mogę tylko Państwa zapewnić, że stosunki między autorem a krytykiem (co mówię jako były krytyk) z natury rzeczy są stosunkami wojennymi. Napisanie książki po to, aby zadowolić krytyków, jest trochę poniżej godności autora. Niech oni sobie piszą to, na co mają ochotę... Akurat hasło literatury środka rzeczywiście powoduje, że mi gwałtownie rosną pazury i kły, ponieważ to hasło moim zdaniem wyrasta z takiego myślenia o literaturze, które wydaje mi się myśleniem głęboko błędnym. Sprawa wygląda moim zdaniem tak: w XX wieku w okolicznościach, które Państwo, jako w większości poloniści, doskonale znają, pojawiło się hasło awangardowości. W przypadku prozy dramat polegał na tym, że pierwszy bezdyskusyjnie awangar-

dowy pisarz był tak wielkim pisarzem (myślę o Joyce'ie), że właściwie od razu spełnił program awangardowości i, prawdę mówiąc, jak się czyta *Ulyssesa*, ma się wrażenie, że to kompendium literatury awangardowej. Mimo to pisarze pod ciśnieniem wymagania, że masz być, człowieku, nowoczesny i jeszcze nowocześniejszy, cały czas biedzili się nad wymyślaniem coraz bardziej wyrafinowanych form, które następnie nie mogły być wykorzystywane przez następców, jak to normalnie z formami literackimi bywało, ponieważ nikt nie chciał narażać się na zarzut naśladownictwa. I tak odziedziczyliśmy po XX wieku wielką stertę takich środków, form literackich, które zostały użyte jedynie raz. W ten sposób literatura stała się literaturą dla filologów. A filolog jest bardzo szczególnym, nienormalnym odbiorcą literatury... I jeśli ktoś nie rozumiał tej lekcji XX wieku, jeśli nie rozumiał, że literatura służy porozumieniu z drugim człowiekiem, a nie kokietowaniu go niezrozumiałstwem, jeśli ktoś cały czas domaga się bycia Joyce'em, Joyce'ikiem czy Joyce'iątkiem choćby, to aby nazwać to, czego nie lubi, wymyślił hasło literatury środka. W momencie, kiedy pismo *Fa-art*, z którym jestem na zdecydowanie wojennej ścieżce, publikuje duży tekst, w którym odsądza od czci i wiary mnie biednego, ale na spółkę z Olgą Tokarczuk i z Jerzym Pilchem, to ja się czuję właściwie dowartościowany. Wołę z Pilchem i Tokarczuk stracić niż z *Fa-artem* zyskać, prawdę mówiąc. Uważam to hasło za mylące, bo literatura środka oznacza (jeśliby próbować przełożyć to na jakiś neutralny język), że jest to literatura, która stara się porozumieć z czytelnikiem, a to porozumienie ma prawo odbywać się za pośrednictwem form, wątków, wyobrażeń, które nas otaczają. Dla mnie znamienne jest, że jeżeli chodzi o *Apokryf Agłai* na przykład, na spotkaniach autorskich wielokrotnie zdarzało mi się rozmawiać z ludźmi, którzy odczytali metaforę tej książki, oczywiście zaczerpniętą z literatury klasy C, D i następnych liter alfabetu. I jakoś nikt mnie głupkowato nie pytał, czy znałem chociaż jednego cyborga i czy jakoś się z nim spełniałem erotycznie. A gdy czytałem recen-

zje *Apokryfu Agłai*, nóż mi się w kieszeni otwierał, bo wszyscy reagowali jak pies Pawłowa: science-fiction? A... Science-fiction = cyborgi = nie ma co dalej analizować, bo to jakieś głupoty dla maluczkiego ducha. Odwołam się teraz do bardzo wysokiego wzorca, ale chciałbym, aby zdawali sobie Państwo sprawę ze stosownych proporcji, bo ja zdaję sobie z nich sprawę. Mój Boże, jak Mickiewicz pisał *Ballady i romanse*, to też sięgał po jakieś bajania analfabetek z Litwy, które bredziły coś o upiorach, wilkołakach i innych takich. Na szczęście było tam trochę inteligentnych czytelników, którzy zrozumieli, że jest to pewien kod, za pomocą którego się porozumiewano. Teraz naprawdę czułbym się anachronicznie, pisząc powieść, w której występowałyby diabełki, aniołki, może jeszcze jakaś strzyga. Głupio by to brzmiało, więc z diabełków zrobiłem agentów KGB, z aniołków agentów CIA i wydaje mi się, że wyszło coś, co można zrozumieć, tylko trzeba chcieć się w to pobawić. Mam wrażenie, że wśród krytyków istnieje poczucie, że jeśli ktoś pobawi się cyborgami, od razu będzie nosił piętno człowieka nie na poziomie. To śmieszne.

P.U.: – Warto tutaj wspomnieć, że Sapkowski nadal wykorzystuje strzygi, pewnie i jakiś diabełek by się znalazł, a też jest systematycznie pomijany, np. przez jury Nagrody Nike, mimo że sprzedaje stu-tysięczne nakłady swoich książek.

J.S.: – O Nagrodach Nike będę się publicznie wypowiadał, jeśli może kiedyś znajdę się w dwudziestce, bo inaczej wyjdzie na to, że to kwaśne winogrona...

K.B.: – Jako prozaik debiutował Pan dopiero w 2001 roku. Czy ten dość późny debiut był wyrazem rozczarowania sytuacją na polskim rynku książki, któremu wcześniej przyglądał się Pan jako krytyk?

J.S.: – Chłopcy i dziewczęta, nie potraficie pisać, ja wam teraz pokażę, jak to się robi... Nie, nie, nie! Zupełnie nie. To było tak. Marzyłem o pisaniu książek od momentu, kiedy zacząłem stawiać litery. Moja mama troskliwie przechowuje jakieś takie dzieło moje, sześć-ciolatka, jeszcze tylko „drukowanymi litera-

mi”, bo nie umiałem „pisanymi”... Na szczęście ostatnio już nie wyciąga tego przy ciotkach. Jak Państwo rozumiecie, nieobecność tego dzieła bardzo mnie cieszy. Potem zrobiłem pewien błąd z punktu widzenia ambicji, marzeń kogoś, kto chce pisać, mianowicie poszedłem na polonistykę. Świadomość, ile dobrych rzeczy już zostało napisanych, sparaliżowała mnie na kilkanaście lat. I z rozpaczcy zostałem krytykiem literackim. Tak było przez kilkanaście lat po dyplomie. A później stało się jak w książce. Po kilkunastu latach przerwy znalazłem się w mieście, w którym w dzieciństwie spędzałem wakacje – w Kołobrzegu. Kołobrzeg jest miastem, które w 1945 roku właściwie zostało zrównane z ziemią. Zrujnowano 96% budynków, co robi wrażenie nawet na mieszkańcach mojego miasta, Warszawy. Tam naprawdę kamień na kamieniu nie został. Po tych skwekach, które kiedyś były centrum Kołobrzegu, chodziłem jako dziecko i wyobrażałem sobie, jak chciałbym, aby to miasto wyglądało. Więc po latach wróciłem do Kołobrzegu i zobaczyłem, że to wszystko się spełniło. To był wstrząs, który mi uświadomił, że nie muszę ścigać się z nikim tutaj. Ja wiem, że istniał Gombrowicz. Wiem, że istniał Bolesław Prus. Wiem, że nie dolecę do tych rejestrów, ale mam coś swojego do napisania. I napisałem. Był to *Wielościan*. To książka, która ukazała się jako druga, po *Apokryfie Agłai*, ale była napisana wcześniej.

P.U.: – Jak już zaczął Pan pisać w tym 2001 roku, okazał się Pan bardzo płodnym pisarzem. W ciągu ostatnich pięciu lat wydał Pan pięć książek (jeśli nie umniejszam dorobku). To bardzo dużo. Oprócz tego sporo Pan publikuje na łamach prasy, do tego radio... Skąd taka potrzeba ciągłego pisania, skąd ta płodność?

K.B.: – Jeszcze dziennik internetowy...

J.S.: – Przede wszystkim muszę trochę „sytnąć” swojego poprzedniego wydawcę. Było tak, że ja na *Wielościan* (od którego dla mnie wszystko się zaczęło) podpisałem umowę na początku 1999 roku. Umowa ustna przewidywała, że publikacja nastąpi w ciągu kilku miesięcy, a w umowie pisemnej był zapis,

że najpóźniej za dwa lata. Byłem nastawiony, że książka zaraz wyjdzie, ale mijały miesiące, a jej wciąż nie było. W końcu pomyślałem: może byś napisał coś innego, może byś się czymś zajął, bo nie można żyć, czekając na książkę. I napisałem *Apokryf Agłai*, a *Wielościan* dalej leżał. Żeby nie rozdrażniać wydawcy, zaniósłem mu *Apokryf Agłai*, a wydawca mówi: „To zaczniemy od tej książki”. Opowiadam o tym, aby zasygnalizować, że te pięć lat to w rzeczywistości jest sześć lat albo siedem. To, że potem zacząłem wydawać, że co chwilę piszę nową książkę, wynikało raczej z tego skrótów, który był na początku. Teraz będzie już troszkę wolniej; choć ostatnio podpisałem umowę nieco stachanowską – co półtora roku książka, więc na czerwiec 2006 muszę mieć gotową powieść. Mam nadzieję, że zdążę. Natomiast co do pozostałej działalności... Jestem dziennikarzem radiowym, lubię pracować w Trójce. Praca w radiu jest naprawdę bardzo przyjemna, ale nie ma się co czarować, przede wszystkim chodzi o to, aby z czegoś żyć. Z literatury można żyć, gdy jest się np. Jerzym Pilchem. Ja nie jestem w stanie utrzymać się z książek. W Trójce po prostu zarabiam na chleb, chociaż znalazłem sobie pracę, którą bardzo lubię. A dziennik internetowy? To jest najzabawniejsza historia. W pewnej chwili zmobilizowałem się do założenia swojej strony, zainspirowany przez Dorotę Terakowską, którą zdążyłem jeszcze poznać (to nadzwyczaj uroczą osobą) i która uparcie namawiała mnie, żeby zrobić to, co ona: po pierwsze – przenieść się do Wydawnictwa Literackiego, a po drugie – uruchomić stronę. Kiedy zacząłem tę stronę projektować, uświadomiłem sobie, że musiałbym naprawdę bardzo szybko publikować książki, żeby informacje na stronie ciągle się zmieniały, więc wymyśliłem, że umieszczę tam dziennik internetowy. A potem się okazało, że ludzie ten dziennik czytają! Przy pisaniu *Ach* to był już ogromny problem, bo najchętniej zostawiłbym wszystko i pisał tylko *Ach*, ale jak dwa tygodnie nie zamieszczałem w dzienniku niczego, dostawałem listy pt. „No, panie, co jest?!”. I tak popędzany jak osiołek, zacząłem pisać dwie rzeczy jednocześnie. Tu dziennik, tu *Ach*,

tu dziennik, tu *Ach...* To trochę taki kierat, nie bardzo wiadomo, jak się teraz z tego wyplątać. Co jednocześnie jest bardzo przyjemne, bo nawet pisząc do gazety, nie ma się tak błyskawicznego odzewu. W internecie praktycznie po godzinie od umieszczenia tekstu na stronie można mieć odzew. Nawet gazeta nie daje takiej rozkoszy. A oczywiście jest, że im szybszy jest odzew, tym lepiej, bo zaczyna się niemal rozmowa.

K.B.: – **Jest Pan również współautorem *Chwilowego zawieszenia broni*, monografii tzw. pokolenia *bruLionu*. Gdyby dziś podjął się Pan napisania podobnego tekstu, który miałby być kontynuacją tamtego, które wydarzenia po 1989 roku by się tam znalazły, które nazwiska uważa Pan za najważniejsze? Jak ocenia Pan stan polskiej literatury?**

J.S.: – Nie mogę oceniać. Obecnie nie jestem krytykiem literackim. Nie da rady mieszać ról. Wiem, że moi koledzy to robią, ale nie sądzę, aby to było zdrowe dla życia literackiego i to jest jedyne, co mogę na temat powiedzieć. *Chwilowe zawieszenie broni* to pomysł Jarosława Klejnockiego, tytuł też. Napisaliśmy tę książkę rzeczywiście na spółkę. W tytule jest tzw. pokolenie, bo gdyby konsekwentnie stosować kryteria Wyki (czym jest pokolenie literackie), to tzw. pokolenie *bruLionu* nie było pokoleniem w ścisłym sensie, chociaż podziały generacyjne odgrywały tam swoją rolę. Ta książka była pisana zupełnie bez dystansu, latem 1996 r., czyli właściwie w samym środku szumu medialnego, który wokół tej literatury powstał. Kiedyś nawet z Klejnockim, przy piwie, zaczęliśmy sobie żartować na temat tego, jak wyglądałoby *Chwilowe zawieszenie broni* dzisiaj. To byłoby odwieszenie broni w celach samobójczych. Choć nie wstydzę się, iż brałem udział w tamtym szumie. Był on potrzebny literaturze polskiej. Jeżeli dobrze pamiętam rozmowę kończącą tę książkę, to tam dość ogólnie (żeby nie dotknąć koleżanek i kolegów) sygnalizowaliśmy, że ważnych nazwisk jest ledwie kilka. Myślę, że bardzo się nie pomyliliśmy. Tzn. oczywiście Olga Tokarczuk, Marcin Świetlicki, Jacek

Podsiadło, Tkaczyszyn–Dycki, Andrzej Stasiuk naturalnie i pewnie niewiele więcej, a to i tak dużo, bo po rewolucji romantycznej trzy nazwiska zostały, a większa była przecieź. Poza tym jeszcze parę osób proponowało bardzo ciekawą literaturę, ale przez mechanizmy medialne (a to jest osobny problem) zostały nieco wyrzucone z tego pola, które obsługują gazety codzienne, a tam niestety przeniosła się działalność recenzencka, która pozwala zaistnieć. Np. Natasza Goerke wydała mi się osobą, o której zrobiło się ciszej, a myślę, że ciekawe rzeczy wtedy robiła i nie wierzę, że przestała robić ciekawe rzeczy. Dla mnie cały czas ogromnym problemem jest Izabela Filipiak, której *Absolutna amnezja* była znakomitą książką, natomiast (Izabela Filipiak by mnie zabiła, gdyby to usłyszała) ośmielam się powiedzieć, że jej dalsze losy pokazują, jakie są skutki mieszania literatury i ideologii. Zagłaskały ją feministki na śmierć. Może jeszcze odbije, nie wiem. Podobno książka o Komornickiej jest bardzo intrygująca – jak poznam, to pewnie w dzienniku coś napiszę, bo jeszcze raz to powiem: już nie jestem krytykiem literackim.

P.U.: – **Dzisiaj zadałem już to pytanie, czy zna Pan ostatnią książkę Czaplńskiego. Powiedział Pan, że nie, więc pozwolę sobie w dwóch zdaniach przybliżyć jej treść. Prof. Czaplński krytycznie ocenia najnowszą literaturę polską i pokazuje, jak „ubierniająco” wpływa ona na czytelnika. Pokazuje, jak nieskutecznie angażuje ona do działania. Dostaje się i Panu. Na 78 stronie, w odniesieniu do opowiadań z *Linii nocnej* pisze Czaplński tak: „Bohaterowie tych opowiadań czują przede wszystkim jakies okropne zniechęcenie, obezwładniający chłód, pewność, że niczego już nie zmienimy i nie ma sensu się starać”. Kolejny cytat: „Życie jest uludą ze szkła i światła”. I jeszcze jeden: „To jest tak, że coś się dzieje, a my nie możemy tego objąć”. I dalej pisze Czaplński: „Ludzie ci patrzą na swoje życie jako zewnętrzną i odległą dziedzinę, która pozostaje poza zasięgiem rozumienia czy – tym bardziej – współtworzenia. Według *Linii nocnej* świat jest**

niepojęty i nieprzewidywalny. Inność kroczy tu pod rękę z destrukcją, więc mieszkańcy tego świata nic nie mają do zrobienia. Mogą tylko z biernym zdumieniem patrzeć, jak ich życie pogrąża się w nudnej tożsamości albo ginie w przepaści innego”. Proszę się ustosunkować do tych słów.

J.S.: – Bardzo precyzyjnie zostało nazwane to, co jest tematem mojej książki. Tylko, jak domyślam się, ten znak minus, który jest tutaj postawiony, wyrasta z założenia, które wydaje mi się płynąć z czegoś, do czego Czapliński (jako niewątpliwie bardzo ciekawy krytyk) ma święte prawo, tylko ja też mam święte prawo mieć inne zdanie. Chodzi o to, że dobrze jest, aby czytelnik i autor chcieli się bawić w to samo. Pamiętam jeszcze z dzieciństwa, że jak jedno dziecko chce się bawić w dwa ognie, a drugie w berka, to raczej zabawa się nie uda. I to jest ten przypadek. W tej chwili ja też jestem już tylko czytelnikiem *Linii nocnej*, w dodatku czytelnikiem, który przeczytał troszeczkę inny tekst niż Czapliński, bo ja wiem, jakie np. opowiadania wyleciały z tej książki itd., więc to jest bardzo szczególny widok. Z tej mojej bardzo szczególnej perspektywy *Linia nocna* opowiada o doświadczeniu, o którym mówi też *Ach*, mianowicie o doświadczeniu acedii. To jest pojęcie, które narodziło się w kręgu greckojęzycznych pustelników w pierwszych wiekach chrześcijaństwa i oznaczało coś, co w języku współczesnej psychologii supermarketu nazywa się utratą motywacji. Na acedię cierpieli pustelnicy, którzy po piętnastu latach postów i modlitw pewnego pięknego dnia patrzyli w niebo i myśleli sobie: „A właściwie to po co?”. I mnie się wydaje, że acedia w przebraniu melancholii, w przebraniu depresji, jest doświadczeniem, które nawiedza co pewien czas ludzi z kręgu naszej kultury. Mam wrażenie, że żyjemy w czasach, w których acedia atakuje ze zdwojoną siłą.

K.B.: – **Pisze Pan o tym również w *Ach*...**

J.S.: – Piszę w *Ach*, wspominam w *Prądzie zatokowym*. To jest dla mnie bardzo ważny temat. Powiedzmy ogólnie, że coś o niej wiem. Uważam za śmieszne to, że w spisie siedmiu grzechów głównych (gdy lata temu

był tłumaczony na polski) jakiś pocziwiec wpadł na kretyński pomysł, żeby acedię przełożyć jako lenistwo. Wiem to z książki Czesława Miłosza (bo sam bym na to nie wpadł). Nie chodzi przecież o lenistwo, tylko o brak wiary w to, że mamy się po co starać. Sądzę, że wielu z nas zna to doświadczenie z autopsji. To może być efektem jakiejś głębokiej traumy w życiu osobistym, ale może to być efekt trochę płytszej traumy niezdanego egzaminu albo tego, że się telewizor zepsuł tuż przed finałem Ligi Mistrzów... Rozmaicie bywa, ale takie fale poczucia, że się nie chce wstać z łóżka, że właściwie człowiek nie ma żadnego powodu, by ruszyć małym palcem u nogi – to jest doświadczenie, które ludzie generalnie znają i niewątpliwie fundamentalną kwestią (i w tym ograniczonym sensie Czapliński ma rację) jest znaleźć sposób, żeby acedię przezwyciężyć, bo ona jest groźna, niezwykle groźna dla jednostki. Wiadomo, że pewien procent depresji kończy się po prostu samobójstwem. Jest również bardzo groźna społecznie. Ba! Ja bardzo lubię literaturę pozytywistyczną, ale okazuje się, że chyba mniej niż prof. Czapliński, bo ja nie widzę powodu, żeby jak młodzi pozytywiści wierzyć, że książka ma być pokrzepieniem do działania. Znowu odwołam się do dzieciństwa. Bardzo głęboko przeżyłem baśń o Bazyliuszku. Jak może Państwo pamiętać, Bazyliuszka się zabijało, pokazując mu lustro. W związku z tym *Linia nocna* jest lustrem postawionym acedii. Jeżeli Czaplińskiego zirytowało, że ci bohaterowie są tacy gnuśni, to albo nie ma pojęcia, czym jest acedia i bardzo mu tego zazdroszczę (ale to by znaczyło, że przybył do nas z kosmosu), albo mi to dobrze wyszło i się zirytował, czyli ma energię życiową, czyli wszystko w porządku.

K.B.: – **W Pana twórczości wyraźne są nawiązania do tradycji literackiej, szczególnie do epoki Młodej Polski, którą, jak wiemy, zajmował się Pan podczas pracy na uniwersytecie. Czy w związku z tym godzi się Pan na określanie Pana twórczości mianem literatury postmodernistycznej?**

J.S.: – Gdyby odwołać się do nieużywanego już chyba dzisiaj znaczenia słowa

modernizm jako synonimu Młodej Polski, to wtedy ewentualnie... Jednak modernizm oznacza tak naprawdę epokę między 1905 a 1968 rokiem, a recepcja postmodernizmu (czyli tego, co się stało później) jest w Polsce bardzo skomplikowana. Np. dlatego, że słowo to przyszło do Polski w latach 90. w momencie, kiedy trwały tu bardzo ostre dyskusje, mocno osadzone w kontekście politycznym, na temat naszego stosunku do tradycji i konserwatywni oraz nacjonalistyczni publicyści zaczęli utożsamiać postmodernizm z jakimś diabłem wcielonym. Tymczasem część z nich znam i wiem doskonale, że z upodobaniem czytali sobie książki Cortazara, chodzili na filmy Felliniego i jakoś dziwnie im to nie przeszkadzało... A przecież to jest właśnie postmodernizm! Waham się przy użyciu tego słowa. I to nawet nie dlatego, że ono w wersji potocznej oznacza taką literaturę, w której o nic nie chodzi, a mnie chodzi o parę rzeczy ważnych. Jeżeli postmodernizm miałby oznaczać kojarzenie moich książek z kinem Quentina Tarantino, to ja dziękuję. Ale jeżeli z kinem Davida Lyncha – to bardzo chętnie. Postmodernizm, ze względu na odkrycia estetyczne tego nurtu, wydaje mi się niezwykle interesujący. Kino takiego reżysera z Hong-Kongu (którego bezczelnie przeczytałem tak, jak się pisze, Wong Kar Wai, a zrobię to dlatego, że gdy rozmawiając z sinolożką poprosiłem ją o to, by mi to przeczytała, wydała z siebie serię takich dźwięków, że naprawdę wszystko jedno, jak mówimy, bo to zupełnie inaczej brzmi w jego ojczyźnie), czy kino Davida Lyncha, czy książki Johna Bartha, niektóre książki Johna Fowlesa itd. – to są rzeczy bardzo interesujące. Natomiast postmodernizm w swojej warstwie programowej, programotwórczej czy antyprogramotwórczej dokładnie mówiąc, postmodernizm jako pewien pomysł światopoglądowy nie bardzo mi odpowiada.

P.U.: – **W swojej prozie odwołuje się Pan przede wszystkim do światów fikcyjnych, nierealności, marzeń sennych... Czy uważa Pan, że opis rzeczywistości, tej z ulicy jest nieciekawym, czy rzeczywistość jest nieciekawa, czy też (podobnie jak Olga Tokarczuk)**

uważa Pan, że rzeczywistość to wszystko, co pomyślane, co wyśnione, co obecne w naszej psychice?

J.S.: – Olga Tokarczuk jest bardzo ważną dla mnie osobą. Zetknąłem się z nią sporo lat temu. Była fascynatką Junga, którego ja też dzięki niej przeczytałem i bardzo był dla mnie ważny w pewnej chwili, ale nigdy nie zostałem uczciwym neofitą jungizmu. Chyba nie jest ze mną ani tak, ani tak... (Przepraszam, że odpowiadam tak skomplikowanie, ale Państwo zadajecie bardzo ciekawe pytania, które utrudniają człowiekowi miłą wygodę odpowiadania monosylabami i muszę tak długo gadać) Faktycznie, gdy słyszę słowo rzeczywistość, to zapalają mi się wszystkie lampki alarmowe. „Prawdziwy zapis rzeczywistości” kojarzy mi się z tekstami kultury (myślę tu i o książkach, i o filmach, przedstawieniach teatralnych), które opowiadają dzieje bandytów, narkomanów, kłoszardów, prostytutek, itp. Otóż ja z zakłopotaniem powiem, że osobiście nie znam ani jednej prostytutki, a przynajmniej nic o tym nie wiem... Owszem, gdy przejeżdżam wieczorem koło Dworca Centralnego, widzę jak tam stoją; przypuszczalnie to one właśnie. Kłoszardów widuję w moim mieście niestety wielu. Bliżej poznałem tylko jednego, który akurat mieszka na moim podwórku. Czasem daję mu parę groszy (i to na pewno nie służy mu do kupna chleba, sądząc po jego dość ostrym oddechu), a on mi kiedyś w dowód wdzięczności znalazł gdzieś wałek do malowania ściany. Natomiast znam dobrze pracowników wyższych uczelni, pracowników radia, pracowników agencji reklamowych, nauczycieli, uczniów i jakoś nie bardzo mi się chce wierzyć, że ich nie ma. A w narzekaniu na to, że literatura, która nie opowiada o upadku społeczeństwa, nie jest rzeczywista, kryje się taka hipoteza, że nas wszystkich nie ma, a przecież też jesteśmy rzeczywistością. I to jest jedna część odpowiedzi. Druga część jest taka, że ja lubię baśnie. Nie lubiłem ich w dzieciństwie, ale lubię jako dorosły człowiek mieć poczucie, że opowiada mi się historię, która mówi o świecie nie wprost. I to chyba stąd pewne elementy fantastyczne w moich tek-

stach. Poza *Linią nocną*, która już tytułem sugerowała, że jest związana ze sferą snu, tej fantastyczności aż tak strasznie dużo nie ma. Co więcej, znajduję ogromną radość (i to akurat jest postmodernistyczne rzeczywiście) w mieszanu fikcji z rzeczywistością. Bardzo fantastyczna z pozoru powieść, *Apokryf Agłai*, dzieje się w Warszawie. Gotów jestem Państwa oprowadzić po tych miejscach, bo to się dzieje w określonych budynkach, w konkretnych mieszkaniach... Dzieje prac nad sztucznym człowiekiem też pracowicie w bibliotece sprawdziłem. Jeden ze szpiegów opowiada bohaterowi o drodze dojścia do sztucznego człowieka. Do roku 1960 wszystko jest zgodne z faktami. Po roku 1960 fantazjuję. Ale do 60. naprawdę sprawdziłem. Do kongresu w Dayton. Nic z tego nie jest wymyślone. No, może ci automatyczni żołnierze pod pałacem kremłowskim – tu trochę przesadziłem, ale poza tym starałem się, aby to było zrośnięte z rzeczywistością. Podobnie jest w *Prądzie zatokowym*. Na początku wspominam tam autentyczną książkę *Jak sobie wyobrażasz Polskę w roku 2000*. Pamiętam ją z dzieciństwa, choć nie udało mi się jej odszukać. We wspomnianym już kilkakrotnie Kołobrzegu, gdzie rodzice przywozili mnie na całe dwa miesiące, moja mama (inżynier z duszą humanistki) od razu zapisywała mnie na wakacje do tamtejszej biblioteki. Przyniosłem stamtąd tę książkę jako dziesięcioletni szkrab. Tak więc tej rzeczywistości jest więcej niż się wydaje, ale mniej niż w znakomitej skądinąd prozie Grzegorza Strumyka. Tylko głęboko wierzę, że ja też piszę o rzeczywistości. Nie dajmy się zwariować! Świat nie składa się wyłącznie z kloszardów i gangsterów.

K.B.: – **Znane są Pana fascynacje literaturą fantastyczną, szczególnie prozą Dicka. Proszę nam opowiedzieć o innych literackich fascynacjach, bo na pewno takie są.**

J.S.: – Są. Obok Philipa K. Dicka natychmiast przypomniał mi się Julio Cortazar. Od jednego z krytyków (nie wiem, czy nie od Czaplińskiego właśnie) zarobiłem zresztą tytułem „Cortazar po liftingu”, co obróciło się na moją korzyść w sposób zupełnie niewiary-

godny. Mianowicie w ubiegłym roku Polska była głównym gościem Targów Książki w Buenos Aires. Miała tam pojechać Olga Tokarczuk, ale odrzuciła propozycję. No i ci biedacy tam w Instytucie Mickiewicza myśleli: „Kogo posłać do Buenos Aires?”. I nagle ktoś sobie przypomniał: „Ty, był taki Cortazar po liftingu!”. I poleciałem do Buenos Aires. Nic tylko Czaplińskiemu postawić duże piwo za to. W liceum przeżywa się najbardziej żarliwe miłości literackie. Przeżywałem niemal historyczne uwielbienie dla Cortazara niewątpliwie, choć rozumiałem go dopiero później, pewnie nie do końca zresztą. *Gra w klasy* w mojej paczce była otaczana takim kultem, że założyliśmy klub. U Cortazara jest Klub Węża, my mieliśmy Klub 2/3, słuchaliśmy płyt jazzowych i nawet próbowaliśmy pocziwą warszawską Wolę nazywać nazwami ulic paryskich. Gdy po wielu latach pierwszy raz w życiu znalazłem się na zachodzie Europy, a mianowicie w Paryżu (bardzo późno, bo o paszport wtedy nie było łatwo, a na domiar złego moi rodzice pracowali w Wojskowej Akademii Technicznej; było to dodatkowe utrudnienie, bo przecież generałowie NATO mogliby się ode mnie dowiedzieć, jak wyglądają ławki w WAT), był r. 1989. Miałem wprawdzie przewodnik, ale miałem też *Grę w klasy* i na pierwszy spacer poszedłem właśnie z nią, bo mnie wieża Eiffle’a nie interesowała. Chciałem zobaczyć, gdzie jest róg ulicy, na której oni słuchali tego jazzu, jak wygląda park, w którym zaraz na pierwszej stronie zostaje rzucony złamany czarny parasol, itd. Tak wielka to była fascynacja. Inną ważną postacią był dla mnie w liceum Witkacy. Można zastanawiać się, co z tych fascynacji we mnie zostało, co przesiąkło do książek... Cortazar, owszem, ale zupełnie nie pamiętałem, tytułując książkę *Wielościan*, że istnieje książka Cortazara pt. *Ośmiościan*. Naprawdę tego nie pamiętałem. Natomiast z Witkacego?... Śmieszny mi postulat, żeby książka mobilizowała do działania, co może Witkacemu zawdzięczam, ponieważ wiem, że przede wszystkim najważniejsze jest, żeby podtrzymać zdziwienie światem. Doświadczenie tajemnicy istnienia jest czymś, co różni

nas od zwierząt, nawet od kotów, które są, jak wiadomo, najwyższymi stworzeniami na świecie – poza nami.

P.U.: – Po przeczytaniu Pana najnowszej książki zastanawialiśmy się, jakie pytania w odniesieniu do niej można zadać, co w niej jest najważniejsze i nie ukrywam, że mieliśmy duży problem.

K.B.: – Tyle tam nawiązań, że trudno stwierdzić, co jest ważniejsze od czegoś innego. Może sam Pan opowie o tej książce?

J.S.: – Wcześniej w naszej rozmowie mówiłem, że w *Ach* pojawia się wątek acedii. To książka, która poniekąd o jakimś pomysle na wychodzenie z acedii opowiada. Jest także próbą rozliczenia się z takim sposobem myślenia, który zafascynował mnie parę lat temu i np. w *Apokryfie Agłai* (od mojej strony patrząc) to widać. Wtedy fascynowałem się gnozą chrześcijańską, która tak różni się od chrześcijaństwa ortodoksyjnego... Zakłada, że w momencie stworzenia świata doszło do jakiegoś gigantycznego kataklizmu i człowiek w tym strasznym świecie jest gościem, który ma sobie przypomnieć, jak się stąd wydobyć. Bardzo mnie to przekonywało, ponieważ będąc człowiekiem o intuicji religijnej, mocno się od dość dawna zżymałem i zżymam się nadal, słysząc od bardzo zacnych nieraz księży, że świat jest taki dobry, że jest dobra Božia, Opatrzność i jeśli coś jest złe, to dlatego, że człowiek nagrzeszył. Mam wtedy ochotę postąpić jak bohater jednej z powieści Dicka, który trzymał w zamrażalniku swojego kota przejechanego przez samochód, aby gdy usłyszy trąby na Sąd Ostateczny, wziąć tego kota za pazuchę i jak Pan Bóg już rozdzieli ludzi na tych po lewej i po prawej, wyjść z tym kotem i powiedzieć: „Przepraszam, jak mam to rozumieć?”. To, co się dzieje w przyrodzie, średnio mi się kojarzy ze skutkami grzechu pierworodnego, a bardzo z demonicznym jakimś pomysłem na przyrodę. Przyroda jest dla mnie tym ładniejsza, im mniej ją znam. Ona JEST bardzo piękna, tylko że bardzo piękne stworzonka cały czas na siebie polują i wyzerają się nawzajem. A na szczycie tego potwornego cyrku stoi człowiek, który wyzera wszystko jak leci, ewentualnie zatrucha, a po-

tem umiera i też jest zżerany. To jest panopticum tak naprawdę. W związku z tym ta gnostycka hipoteza bardzo mi odpowiadała i jeszcze pierwsze strony *Ach* są w tym duchu pisane. Natomiast w pewnej chwili złapałem się na niekonsekwencjach. Wiem, że stuprocentowej konsekwencji nie sposób w życiu uzyskać, ale te najgrubsze niekonsekwencje ładnie byłoby zlikwidować. Otóż złapałem się na tym, że czytam książkę Jonasa pt. *Religia gnozy*, niezwykle fascynującą zresztą, i pogryzam czekoladę Milka jogurtową. Różne rzeczy dają się z gnozą pogodzić, ale czekolada jogurtowa Milka nie. Albo, człowieku, uważasz, że ten świat jest do kitu i dążysz do tego, aby się stąd jak najszybciej wypisać, a mianowicie rozwijając się duchowo, a ciało oddając praktykom ascetycznym, albo pozerasz czekoladę Milka i zaczynasz lubić to – znaczy jest coś fajnego na tym świecie. Refleksja nad czekoladą Milka doprowadziła mnie do bardzo ostrożnego zaaprobowania na nowo ortodoksji chrześcijańskiej. Nie ze wszystkimi nurtami, nie pod każdym warunkiem, z oporami, ale jednak... W tej tradycji nie ma radykalizmu, który jest chyba sprzeczny z życiem. I myślę, że w *Ach* rozliczam się z acedią i z gnozą, co jest poniekąd współbieżne, a pojawia się tam jeszcze trzeci wątek, który z tymi dwoma jest silnie związany, mianowicie namiętność. Bo oczywiście czekolada występuje tutaj jako eufemizm... Namiętność jest niewątpliwie doświadczeniem niezwykle ważnym i przy całym szacunku dla św. Aleksego, co leżał pod schodami, uważam, że coś stracił. To taki trójkat: namiętność, acedia, gnoza. Z mojego punktu widzenia są to trzy sprawy centralne.

K.B.: – W eseju *Piszczel św. Hieronima* pisze Pan: „Obyczajowość nasza stanowi dziś część tzw. kultury instant. Kultura instant odpowiada między innymi za wynalazek rzepów, szybszych niż zamek błyskawiczny, kawy, która nie wymaga dziesięciminutowego rytuału parzenia, telewizyjnego kanału informacyjnego, w którym z a w s z e jest pora na wiadomości i e-maila, skracającego do minimum czas czekania na odpowiedź. Nie chcemy czekać na nie”. Czy

tęskni Pan do czasów sprzed kultury instant?

J.S.: – Chyba nie, bo ja jestem produktem tej kultury. Przed tym, że nasze wewnętrzne zegary taktują coraz szybciej, chyba nie ma ucieczki. Mieliście Państwo w tym momencie do czynienia ze zjawiskiem telepatii (to à propos tego, co jest rzeczywistością), ponieważ jadąc tutaj, pytałem panią Katarzynę, czy mam coś przeczytać, na co usłyszałem, że nie, że mamy przygotowane dwa cytaty. No i to był fragment, który ja sobie przygotowałem. Natomiast z kulturą instant jest tak, że... To jest grzech, który popełnia wielu moich rówieśników, tzw. młodych konserwatystów, np. Wojciech Wencel czy Cezary Michalski, czy Dariusz Karłowicz. Oni, ciskając gromy na świat współczesny, rzeczywiście sprawiają wrażenie, że robią to z jakiejś wysepki. Że się uchowali, no! Natomiast ja myślę, że ten fragment o kulturze instant pisałem, złączając się i jednocześnie śmiejąc się z siebie, bo ja nie piję innej kawy niż kawa instant. Zdecydowanie straciłem cierpliwość do listów tradycyjnych i jak ktoś nie przysłał mi maila, to odpowiem mu może w przyszłym roku albo wcale. Napisać, pójść do skrzynki na pocztę, kupić znaczek, nakleić go, wysłać, Jezu Chryste! Nie ma czasu. Poddałem siebie i uczniów szkoły, w której przez siedem lat uczyłem, pewnemu doświadczeniu. W opisywanym liceum prywatnym, w którym jest taki miły zwyczaj, że mniej więcej dwa razy do roku odbywają się tzw. sesje. Tzn. wyjeżdżamy z niewielką grupą uczniów, jadą wszyscy poloniści i zaprzyjaźniony anglista, do jakiegoś ośrodka wczasowego na pół piątku, sobotę i pół niedzieli, gdzie dyskutujemy o jakiejś kwestii, która wydaje nam się interesująca, a nie zmieściła się w programie, w którym ostatnio coraz mniej się mieści (bo co wyprawia MEN, wszyscy wiedzą...). Bywają to również sesje filmowe. Więc poczęstowałem młodzież filmami Tarkowskiego: *Solaris*, *Stalkerem*, *Zwierciadłem*, *Andriejem Rublowem* i *Ofiarowaniem*. Tarkowski to reżyser, dla którego kino to forma kontemplacji świata. Jak na początku *Solaris* ustawia kamerę nad rzeką i pokazuje wodo-

rosta, które w wodzie migoczą i strumień wody nimi porusza, chyba że trzy minuty kamera stoi, a wodorosty się ruszają. Masz, człowieku przyjrzeć się uważnie wodorostom. Potem kamera nieznacznie się podnosi, widać bohatera, który przygląda się wodorostom i przez trzy minuty mamy obserwować bohatera. Potem jest chyba jeszcze wolniej. Bardzo się ucieszyłem, że uczniowie to znieśli i ja też traktuję ten weekend jako bardzo ważne doświadczenie estetyczne i duchowe. Jednocześnie mam świadomość, że to tempo montażu zostaje gdzieś w nas. W związku z tym kultura instant jest drażniąca. Ale trzeba zacząć od siebie. Żyjemy w świecie, który galopuje coraz szybciej i ja nie chcę powiedzieć, że już nie można szybciej, bo pewnie można. Widziałem kiedyś teledysk jakiejś grupy metalowej zmontowany ze skrajną prędkością. Zespół stał na okrągłej estradzie, wokół niego dwadzieścia pięć kamer i tak po jednej klatce z każdej kamery kolejno... Film, jak wiadomo, porusza się z prędkością dwadzieścia pięć klatek na sekundę. Miałem chorobę morską, gdy ten teledysk się skończył, ale wytrzymałem, bo chciałem wiedzieć, do czego to doprowadzi. Już wiem. Mam nadzieję, że coraz więcej ludzi będzie odczuwało zmęczenie tym tempem. W uspokojeniu naprawdę jest jakieś wyjście, co wcale nie oznacza, że chciałbym znaleźć się w świecie Elizy Orzeszkowej, przy całej sympatii dla niej.

P.U.: – **Pana najnowsza książka jest zdecydowanie najbardziej osobistą książką z dotychczasowych, fragmentami wręcz intymną, ekshibicjonistyczną. Mówi Pan o osobistych przeżyciach, emocjach, myślach. Czy pisanie tej książki nie czyniło pewnego oporu przed takim obnażaniem się?**

J.S.: – Nie, bo to wszystko zagrane jest przecież... Nie. Serio mówiąc, głęboko wierzę, że ta książka nie jest ekshibicjonistyczna. Nawet zażądałem od wydawnictwa, by wyrzuciło ten epitet z reklamówki książki, która pojawiła się w internecie na stronie Wydawnictwa Literackiego. Pozwolę sobie przytoczyć takie rozumowanie, na które wpadłem, gdy tłumaczyłem się z podobnej

kwestii w dzienniku internetowym. Żeby zrozumieć, czym różni się prywatność od ekshibicjonizmu, trzeba przywołać pierwotne znaczenie słowa ekshibicjonista. To jest taki człowiek, który się obnaża po parkach. I czym się teraz różni nagość ekshibicjonisty od nagości kochanka? Otóż kochanek mówi do kochanki: „Jeśli chcesz, możesz mnie zobaczyć nagiego”. Ekshibicjonista mówi: „Jeżeli nie chcesz, musisz mnie zobaczyć nagiego!” Głęboko wierzę, że ja staram się być kochankiem. Nie wiem, jak z uwodzeniem w przypadku tego *Ach*, ale robiłem, co mogłem... Nie mam poczucia plotkowania na własny temat. Mnie samego, jako czytelnika, krępuje autor, który nagle zaczyna się zwierzać z intymnych spraw. Starałem się zachować klimat dowodzący, że piszę o sprawach, które mnie głęboko obchodzą. Teraz codziennie pojawia się bardzo wiele nowych książek i gdyby jakiś czytelnik zechciał tych kilka godzin zainwestować właśnie w moją książkę, to muszę potraktować go serio. Książka nie bez powodu zaczyna się od zdania, że jeśli jest jakiś temat wart rozmowy naprawdę, to jest to dyskusja na temat tego, czy istnieje Bóg, czy nie (to zdanie Dostojewskiego). Tego się trzymając, starałem się sygnalizować, że piszę o sprawach, które lepiej lub gorzej z jakiegoś powodu znam i są dla mnie ważne. Starałem się jednak kontrolować przeciek informacji na mój temat. Kiedyś wysłuchałem w II Programie Polskiego Radia audycji na temat tej książki, gdzie naprawdę znakomici krytycy dobre siedem minut rozważali problem, jak Jerzy Sosnowski otarł się o sektę New Age'u. Tymczasem lojalnie o tym bohaterze pisałem w 3 os., bo ja z New Age'em nigdy nie miałem nic wspólnego. Chyba że ktoś potraktuje czytanie Junga za przejaw New Age'u... A fragment o New Age'u jest wynikiem rozmowy z Olgą Tokarczuk, która przeczytała pierwszy rozdział książki, czyli *Malego Lebidiewa* i powiedziała mi, że denerwuje ją, jak na ten biedny New Age wszyscy teraz skaczą jak koza na krzywe drzewo i że jak z New Age'em polemizować, to poważnie, a nie chlapanć jednym zdaniem. Wziąłem to sobie do serca i potem zastanawiałem się, pisząc książkę,

gdzie mogę wstawić ten fragment polemiczny o New Age i wymyśliłem, że tutaj. To nie jest opowieść bezpośrednio o mnie. Moje stosunki z kościołem katolickim są burzliwe i zresztą nie bez powodu w katolickim miesięczniku „Więź” przyklasnałem pomysłowi nazwania mojego cyklu felietonów *Ex post*, bo w swoim czasie bardzo mi się spodobało słowo eks-postkatolik. Prawie jak anarchokonserwatyzm. Redaktorzy *bruLionu* odpowiadali na pytanie o ich poglądy polityczne, że są anarchokonserwatystami. W tym sensie ja mogę być ekspostkatolikiem.

K.B.: – **W *Ach* z jednej strony mamy problem acedii, a z drugiej strony... Ach to jeden wielki zachwyty światem. Przytoczę jeszcze jeden fragment książki: „Należę do szczęśliwców, którym lekka i niezbyt uciążliwa, ale jednak chroniczna choroba pozwala doceniać wartość głębokiego oddechu. Płuca przyjmują wtedy powietrze jak serdeczny gospodarz, który otwiera na oścież drzwi. Szeroko, bez ociągania. Kiedy jem, zewnętrzne wobec mojego ciała składniki świata wchłaniam po uprzednim, wstępnym przetworzeniu: starannie rozdrobione, przeżute. Kiedy piję, ciecz po trochu przeciska się przez krtań, przepuszczana ostrożnie. Tymczasem oddychanie jest instynktownym wyrazem całkowitej zgody na świat: powietrze wpada do wewnątrz mnie, wciągane zachłannie, bez wyboru i bez namysłu. Od samej przepony począwszy, ciało moje rozciąga się, by dać się wypełnić temu, co wokół. A potem wydech bez wstydu, bez skrępowania moją fizycznością, zgoda na mnie samego. I znów wdech, gorliwy, ekstatyczny. Aż do pojawienia się w pobliżu jakiegoś alergenu, który wywołałby atak duszności (co przecież nie zdarza się bardzo często), całość tego, czym rozporządzam jako „mną”, opowiada się spontanicznie za życiem. W kłopotach, w rozżaleniu, w radosnym oczekiwaniu, w euforii, w przynębieniu, w strachu i wstydzie – trwa ta organiczna modlitwa. Modlitwa organizmu. – Ach, Panie, dobrze, że tu jesteśmy, szepce moja tchawica, oskrzela i pęcherzyki płuc. Ach, dobrze jest**

być pod namiotem nieba, pomimo wszystko. Ach, pozwól mi tu zostać, pozwól mi się zmieniać. Ach, choćby jeszcze tych kilka kolejnych sekund. Ach – istnieje cierpienie, rozpacz, groza, rozczarowanie, nędza. Ach, przemijanie i umieranie. Ach, co sekunda na całym świecie umierają tysiące, a tysiące rodzą się z płaczem. „Takiż to świat, niedobry świat, czemuż innego nie ma świata?”

Ach, ale narzekając wniebogłosy i oskarżając Cię, i oplakując złudzenia, oddycham. Ach, wdzięczność. Ach, dziękczynna mantra moich płuc, co chwila nienasyconych światem i życiem, niesytych istnienia.”

Naszym i Państwa gościem był ciągle głodny świata i życia Jerzy Sosnowski. Dziękujemy serdecznie za rozmowę.





Gottfried Benn – myśliciel z landsberskich koszar

Krystyna Kamińska

Podczas sympozjum z okazji Światowego Dnia Poezji w Warszawie w 2005 r. polscy poeci mówili o poetach z innych kręgów językowych, którzy mieli wpływ na ich twórczość. Krzysztof Gąsiorowski jako pierwszy, a za nim kilku innych, wskazali na niemieckiego poetę Gottfrieda Benną.

Przez prawie dwa wojenne lata Gottfried Benn mieszkał w Landsbergu – dzisiejszym Gorzowie, a utwory wówczas napisane uznawane są za najważniejsze w jego dorobku twórczym. Zawsze czuł się emocjonalnie związany z Brandenburgią, wychowywał się po obecnie polskiej stronie Odry. Zarówno więc ze względów artystycznych jak i lokalnych wydaje nam się niezbędne przypomnienie tego wybitnego poety i myśliciela o losie skomplikowanym przez niemiecką historię XX wieku.

Szczęśliwe dzieciństwo w brandenburskiej wsi

Urodził się 2 maja 1886 r. jako syn protestanckiego pastora w Meklemburgii, ale od pier-

wszego roku życia wzrastał w miejscowości Selin (obecnie Zielin, gmina Mieszkowice, blisko północnej granicy województwa lubuskiego). W Zielinie do dziś stoi rodzinny dom Gottfrieda Benną, choć plebania znajduje się w niedawno zbudowanym obiekcie. Niewiele zmienił się natomiast kościół, miejsce pracy jego ojca. Wspomina po latach: *Rosłem wśród wioskowych chłopaków, gadałem dialektem platt, aż do listopada biegałem boso, uczyłem się w szkółce wiejskiej, byłem konfirmowany wraz z dziećmi robotniczymi, jeździłem drabiniastym wozem na pole po zboże, na łąkę w czas sianokosów, pasalem krowy, zrywałem wiśnie i orzechy, wiosną kręciłem fujarki z młodych witek wierzbowych, wybierałem ptasie gniazda. Do dziś ziemię tę uważam za rodzinne strony, choć nikogo tam już nie znam. Ziemia dzieciństwa, kraj ukochany.*

Biednie, ale szczęśliwie się żyło jego rodzinie z ośmiorgiem dzieci. Ojciec i dziadek byli fanatycznie religijnymi pastorami. Matka, która pochodziła z francuskiej części Szwajcarii i do końca życia nie opanowała dobrze języka niemieckiego, do surowego domu pas-

Krystyna Kamińska

tora Benna wniosła powiew romańskiego ducha i francuskie piosenki śpiewane dzieciom. Gottfried bardzo kochał matkę. Do końca życia miał do ojca pretensję, że gdy w mękach umierała na raka, w imię wartości religijnych, nie pozwalał na podanie żonie środków uśmierających.

Duchowa odmienność rodziców dała mu podstawę do wniosków ważnych w tamtych latach: *Poprzez małżeństwo moich rodziców zmieszały się we mnie germańskość i romańskość, te dwa najważniejsze składniki ludności europejskiej. Powstała w ten sposób mieszanka, ale nie mieszańcy, krzyżówka, ale nie bastardi, w każdym razie mieszanka aryjska.* Dwa typy kultury, jakie wnieśli rodzice, podobnie - jak to on określał - ich różny „materiał genetyczny” inspirowały później Benna do rozważań na temat mieszanek kulturowych i rasowych. Sam siebie uznawał za efekt „hodowli” wielkich procesów kulturowych i biologicznych.

W 1903 r. zdał maturę w gimnazjum we Frankfurcie i rozpoczął studiowanie teologii i filozofii na uniwersytecie w Marburgu. Jednak po kolejnych dwóch latach, w 1905 r. zmienił kierunek studiów na medycynę w berlińskiej Akademii Medycyny Wojskowej (Kaiser-Wilhelm-Akademie), gdzie specjalność lekarza sanitarnego można było studiować za niewysoką opłatą.

Najwyższe wyostrzenie pojęć

W 1912 r. uzyskał tytuł doktora medycyny na podstawie rozprawy „Częstotliwość występowania cukrzycy w wojsku”. Tam, jak później pisał, nauczył się *zimnego myślenia, trzeźwego stosunku do życia, najwyższego wyostrzenia pojęć.* Wkrótce z przyczyn zdrowotnych opuścił wojsko i podjął pracę w najmniej przyjemnej dziedzinie medycyny. Został lekarzem kasy chorych o specjalności skórno-wenerycznej, miał więc do czynienia głównie z marginesem społecznym.

W tym samym 1912 r. debiutuje tomem wierszy „Morgue” (to francuskie określenie oznaczało w żargonie trupiarnię). Ciekawe, że w tym samym roku i w tym samym wydaw-

nictwie Alfreda Richarda Meyera w Wilhelmshofie został wydany debiutancki tom wierszy Filipa Tomasza Marinettiego – twórcy futuryzmu. Benn natomiast stał się czołowym poetą niemieckiego ekspresjonizmu.

Jego poezja wyrasta z dwóch źródeł: świat egzystencjalny, z dominującymi doświadczeniami praktyki lekarskiej skontrastował z idyllicznym światem dzieciństwa. Dziecko wsi zetknęło się w mieście z tym, co najgorsze, najbardziej brudne i gnijące. Uroda świata została w wierszach tych nie tylko zakwestionowana, ale przekreślona, odrzucona. Sztuka - zdaniem Benna - winna wyrażać dramat życia ze wszystkich stron otoczonego przez śmierć. A pisać o tym powinno się obiektywnie, rzetelnie, niemal protokolarnie, bez przymiotników, bez ozdób. Dla przykładu – wiersz „Piękna młodość”:

*Usta dziewczyny, która długo
leżała w sitowiu
wyglądały jak ogryzione.*

*Kiedy otworzono klatkę piersiową, przetyk
był dziurawy.*

*Wreszcie pod łukiem przepony
znaleźliśmy gniazdo młodych szurów.*

Mała siostrzyczka leżała nieżywa.

*Inne żywiły się wątrobą i nerkami,
piły zimną krew i przeżyły
tutaj piękną młodość.*

*I piękna, lecz szybka, zastała ich też śmierć:
wrzucono je wszystkie do wody.*

Ach, jak kwiczały małe pyszczki!

Thum. Krzysztof Karasek

Benn stał się popularny w kręgach berlińskiej, artystycznej młodzieży, bo wyrażał jej prerażenie światem. Było to krótko przed I wojną światową, najbardziej krwawą wojną, w której wymordowano niemal całe to młode pokolenie.

Narodziny doktora Rönne

W sierpniu 1914 r. został wcielony do wojska jako lekarz w służbie liniowej. Kilka tygodni wcześniej poślubił Edith Osterloch, poznaną nad morzem wdowę z Monachium.

Tymczasem zamiast uroków życia rodzinnego, na co ogromnie liczył, podczas walk w Belgii poznał smak wojny. Uczestniczył w szturmie Antwerpii, asystował przy rozstrzelaniu brytyjskiego szpiega, widział całą brutalność wojny. W wyniku doświadczeń i przemyśleń powołał do literackiego istnienia postać doktora Rönne, bohatera opowiadań z cyklu „Gehirne” („Mózgi”), którego cechuje *ontologiczny brak zaufania* – jak to określił Hubert Orłowski. Doktor Rönne tak dalece wątpi we wszystko, że zakwestionował sens istnienia rzeczywistości, a nawet przekreślił pojęcie jednostki. Inne istotne cechy jego postawy, to utrata autorytetów, brak zaufania dla intelektu, totalna dezorientacja. Przy tym warto wiedzieć, że Benn nigdy nie uznawał zasad demokracji parlamentarnej, uważał je za szkodliwe zarówno dla państwa jak i dla jednostki. W końcu lat 20. już był gotowy na przyjęcie ideologii nazistowskiej.

„Honor szczególnie”

W 1923 r. ukazały się pierwsze „Dzieła zebrane” Benna, czyli obejmujące dwa tomiki poezji, wiersze wcześniej publikowane głównie na łamach prasy. Benn wysuwa się na czoło ekspresjonistycznych poetów niemieckich. A przecież nie jest zauważany ani honorowany przez władze i instytucje kultury republiki weimarskiej. Z okazji swoich 40. urodzin w 1926 r. obliczył, że za dotychczasową twórczość zarobił 975 marek, czyli po 4 marki 50 fenigów miesięcznie. Poczucie swojego niedocenienia tłumaczył brakiem kulturowego przygotowania całego niemieckiego społeczeństwa doby weimarskiej do przemian i wyzwań przyszłości.

Na początku lat 30. bardzo żywe były w Niemczech publiczne dyskusje na temat roli artysty i intelektualisty dla państwa i narodu. Benn – lekarz i przyrodnik – opowiedział się za biologicznymi uwarunkowaniami zachowań człowieka. Twierdzi, że rozwój umysłowy ma decydujący wpływ na budzenie pierwotnych instynktów, a tym samym hamuje postęp kulturowy. Ten jego pogład

wywołał ożywioną dyskusję, ale wnioski uzależnione były od postaw politycznych dyskutantów.

W 1932 r. Gottfried Benn został wybrany na członka Sekcji Literatury Pruskiej Akademii Sztuk Pięknych, co do końca życia uznawał za „honor szczególnie”.

Również w tym czasie poznał kupca z Bremy - Friedricha Wilhelma Oelze, z którym niemal do samej śmierci utrzymywał korespondencję. W 750. listach wydanych później w trzech tomach, zawarł przemyślenia niezwykle ważne dla sztuki i kultury niemieckiej. Zajmował go przede wszystkim zakazany w okresie hitlerowskim problem poszukiwań artystycznych. W czasie, gdy powstawały, nie mogły być znane szerokim kręgom.

Przemówiła historia

Tymczasem przyszedł rok 1933 i przejście władzy przez Hitlera. Benn cieszy się ze zmian. Pisze: *Mamy więc rewolucję. Przemawia historia. Kto tego nie spostrzeża, jest chory na umyśle. (...) Oto nowa epoka bytu historycznego.* Już w marcu 1933 r. opracował swoistą lojalkę i kazał podpisywać członkom Akademii. Faszyci skutecznie oczyszczali kręgi literackie z „elementów obcych niemieckiemu narodowi”, przede wszystkim właśnie Sekcję Literacką Pruskiej Akademii. Dużo było wtedy dyskusji intelektualnych. Benn także włącza się do tych dyskusji, ale jako jeden z nielicznych cenionych pisarzy i członków Akademii opowiedział się po stronie Hitlera. Najpierw w swojej pogadance radiowej pt. „Nowe państwo a intelektualności”, potem na łamach prasy oddawał hold nowemu państwu, które powstało *wbrew woli intelektualistów*. Poparł podporządkowanie jednostki sile wyższej – kolektywowi, idei wspólnego czynu. Nowe państwo to dla niego państwo władzy bezwzględnej, w którym działać będzie nowy typ biologiczny. Opowiada się za wyrzeczeniem się na rzecz państwa wolności osobistej, w tym wolności słowa a nawet myśli. Oskarżał przy tym intelektualistów, którzy nie podporządkowali się doktrynie

hitlerowskiej, przede wszystkim Henryka Manna, którego twórczość zawsze niezwykle cenil.

Przekonanie do ideologii hitlerowskiej doprowadziło go do zaakceptowania ustawy o zapobieganiu wydawania na świat potomstwa obciążonego chorobami dziedzicznymi. A był to pierwszy akt prawny legalizujący eutanazję.

Tymczasem władza wcale nie chce właśnie w Bennie widzieć swojego głównego orędownika. Wywodził się on przecież z nurtu egzystencjalnego, nurtu sklasyfikowanego przez nazistów jako sztuka zwyrodniała. Jego liryka rozkładu, eksponowania brzydoty i śmierci nie pasowała do faszystowskiej koncepcji czystej i zdrowej sztuki mającej służyć narodowej propagandzie. Nie minął rok, gdy Goebellsowska prasa rozpoczęła nagonkę na Benna za jego rzekomo żydowskie pochodzenie i uprawiania zdegenerowanej poezji. W konsekwencji w czerwcu 1934 r. wykluczono go z Akademii Sztuki.

Nie mógł emigrować, bo naraził się niemieckim intelektualistom, którzy wcześniej opuścili kraj. Paradoksalnie uznał, że najbezpieczniej będzie mu w... wojsku. Był lekarzem wojskowym w stopniu majora, więc zgłosił się do służby w Wehrmachcie. Od kwietnia 1935 do czerwca 1937 r. pełnił obowiązki lekarza inspekcji sanitarnej w sztabie w Hanowerze. Następnie wrócił do Berlina, gdzie próbował wrócić do życia kulturalnego. Choć od dwóch lat w ogóle nie publikował, decyzją nadesłaną listownie, bez podania przyczyn, wykluczono go ze Związku Piśmiennictwa Rzeszy, co było równoznaczne z zakazem publikowania. Benn skomentował to tak:

*Ekspresjonisto!
Nie wybiją ci pamiątkowej monety
tak jak Grecy poetce Safonie,
w Niemczech zdradą kultury, niestety,
jest już to, że masz całe skronie.*

Choć miał zakaz publikowania, własnym nakładem w 100. egzemplarzach wydał tomik „22 wiersze”, który zapoczątkowały ważny jego tom „Wiersze statycznych”.

Landsberski fragment

W sierpniu 1943 wraz z Urzędem Pomocy i Zaopatrzenia Wehrmachtu przeniesiono go do koszar w Landsbergu i mianowano głównym lekarzem. Zamieszkał najpierw w wynajętym mieszkaniu przy ul. 30 Stycznia 2. Po przyjeździe do Landsberga pisał: *Nie ma tu nic do roboty, panoszy się dezorganizacja. W mieście nic do jedzenia, nic kupić nie można...* Potem przeniesiono go bliżej miejsca pracy, czyli do koszar im. gen. von Strantza, *jak kasztel górującymi nad miastem*, przy dzisiejszej ul. Chopina. Jako adres podawał: blok II, pok. 66. W listopadzie 1944 r. dołączyła do niego druga młoda żona (pierwsza zmarła w 1922 r.), zamieszkali przy ul. Chopina 68 w budynku wielorodzinnym.

Opuścili Landsberg tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej w ostatnich dniach stycznia 1945 r. Wobec spodziewanego wkroczenia wojska radzieckiego, postanowił zabezpieczyć swoje rękopisy. Wysłał je do przyjaciela Oelzego do Bremy jako spuściznę doktora Rönneho, czym przypominał, że postać ta to *alter ego* autora. W ten sposób ocalał jego landsberski dorobek.

Samotność artysty

Podczas pobytu w Landsbergu Benn pisze swoje najważniejsze eseje literackie i studia z filozofii kultury. W marcu 1944 r. rozpoczął pracę nad „Powieścią fenotypu” z podtytułem „Landsberger Fragment”, który przetłumaczono jako „Gorzowski fragment”, także wiele części „Świata wyrazu”, m. in. „Pallas” oraz kilka wierszy, które weszły do tomu „Wiersze statyczne”. Wtedy nawiązał kontakt z Marią Diers, krytykiem literatury, aby poznać jej ocenę swojej twórczości. Wspomnienia i refleksje z landsberskich czasów zawarł w rozdziale IV „Podwójnego życia”, któremu nadał tytuł „Blok II, pokój 66” (obszerne fragmenty publikujemy oddzielnie). Zarówno wiersze jak i proza traktują o wyizolowaniu jednostki, o samotności osobowości twórczej w historii świata. Sam czuł się taką właśnie twórczą osobowością zepchniętą na margines.

W 1952 r. w wystąpieniu na Międzynarodowym Biennale Poezji w Knokke powiedział: *Artysta jest samotny, jest odpowiedzialny tylko za siebie, ma wypełnić postawione tylko sobie zadania, a jego dzieło nie jest skierowane do nikogo*. Samotność stała się dla niego stanem naturalnym.

Przemyślenia z landsberskiego odosobnienia pozwoliły mu na sformułowanie nowego modelu sztuki. Uznał za najważniejsze, w jaki sposób artysta upora się z własnym nihilizmem i jakie będą relacje jego dzieł z tradycją. Po nihilizmie ogłoszonym przez Friedricha Nietzschego – zdaniem Benna – nastanie druga faza stylu ekspresjonistycznego, w której szczególną wartością będzie prawo artysty do własnej formy. To ona zdecyduje o przewyciężeniu nihilizmu przez sztukę, która zdobędzie pierwszoplanową funkcję w kulturze i ideologii.

Napiętnowany

W Berlinie mieszkanie Bennów zajęli obcy ludzie. Już następnego ranka obudziły ich syreny zapowiadające nalot. Wojna jeszcze się nie skończyła. Jego osobistą powojenną już tragedię najlepiej opisują dwa zdarzenia. W obawie przed wkroczeniem Rosjan, jego młoda żona popełniła samobójstwo. A gdy parę miesięcy później do Berlina przyjechała jego córka z pierwszego małżeństwa jako duńska dziennikarka, nie spotkała się z ojcem, bo bała się reakcji opinii społecznej.

Przez trzy lata Benn nie odzyskał prawa do publikacji w państwowych wydawnictwach. Jako najpierw jednoznaczny zwolennik ideologii Hitlera, a potem wyższy oficer w hitlerowskim wojsku, był nadal uznawany za wyznawcę nazizmu. Czekał cierpliwie na rehabilitację.

Wreszcie w lipcu 1948 r. napisał głośny „List Berliński”. Stwierdził tam: *Kiedy jest się przez 15 lat, jak to miało miejsce ze mną, publicznie nazywanym przez nazistów świnią, przez demokratów – duchową prostytutką, przez emigrantów renegatem, przez ludzi religijnych patologicznym nihilistą, to trudno się palić do ponownego wejścia w sferę publiczną*.

List ten wywołał falę dyskusji na temat postaw tych intelektualistów niemieckich, którzy nie wyjechali z kraju na czas wojny. Jeden z dyskutantów – Ernst Robert Curtius napisał: *Gdy dane mi jest przeczytać jedną Pańską stronę, nikt nie gdzieś cała Niemiecka Literatura. Panowie współcześni tego nie czują... Dziełem z Panem obrzydzenie przed niemiecką (oraz pozostałą) opinią publiczną*.

Benn nigdy nie wykazał skruchy, nie próbował wygładzać ani uzasadniać swoich poglądów z lat 30. Nawet o wydaniu na własny koszt tomiku w 100. egzemplarzach po wojnie tak napisał: *Mógłbym przedłożyć ten tomik jako dokument nielegalnej działalności antyfaszystowskiej, ale nie mam takich ambicji*.

Odwrotnie, on szukał argumentacji, np.: że ktoś rozsądny musiał zająć miejsca opuszczone przez tych ludzi kultury, którzy wyemigrowali, że nie mógł inaczej postąpić, itp.

Późny Benn

Wreszcie następuje oczekiwany przełom. W końcu 1948 r. ukazują się „Wiersze statyczne” w nakładzie 3 tysięcy egzemplarzy. W 1949 r. kończył Benn autobiografię „Doppelleben” („Podwójne życie”), do której włączył obszernie fragmenty przemyśleń napisanych w Landsbergu. Te podwójność sprowadza do rozbieżności między tym co zewnętrzne, a tym co wewnętrzne, do estetyzacji a prozaizacji, do rozbieżności między artystą a zwykłym człowiekiem. Postawa ta sięga czasów niemieckiego romantyzmu, a Benn ją konkretyzuje: *Człowiek ma swoje troski związane ze zdobywaniem pożywienia, rodziną, karierą, ma ambicje i nerwice, ale to nie jest treść życia w sensie metafizycznym*. W powyższym aspekcie twórcze jednostki winny umieć oderwać się od spraw doraźnych, wiedzieć dalej i więcej.

*Odmienność rozwoju
stanowi o głębi mędrca,
dzieci i dzieci tych dzieci
nie niepokoją go,
nie przenikają w niego.
Reprezentować kierunki,
działała,*

*przyjeżdżać i odjeżdżać
to znaki świata,
którego jasno nie widzi. (...)
Dalekowzroczność
jest innym określeniem jego statyki.*

O wierszach z drugiego okresu twórczości Benna, jego tłumacz, Krzysztof Karasek napisał: *Późny Benn jest jak gdyby przelamany. Powrót do kraju dzieciństwa, wielkie uspokojenie, odbywa się po wyjątkowo trudnej walce wewnętrznej. Duża część tych wierszy, świadectw rozdarcia, to wiersze człowieka zasłuchanego w ponadczasowość, w esencję, w wieczność własnego powołania i dramatu; oplakiwanie utraty czci i młodości. Inna jednak część ukazuje Benna zasłuchanego w to, co jest niezniszczalne, co ocalało. I co jest istotą tego, co pozwala ocaleć. Wznosi się w nich Benn na wyżyny sztuki lirycznej naszego wieku.*

Recepcja tego utworu przerosła oczekiwania autora. Wyższość twórcy nad tłumem była dla wielu frapująca, ale w generalnym rozrachunku zrodziła więcej epigonów niż prawdziwych artystów.

Dla narodu okazał się ważniejszy aspekt mentalny, który uzasadniał zaniechanie refleksji nad własną przeszłością. Tak jak on sam nie podejmował żadnych prób wybielenia swoich poglądów z lat 30., tak też nie oczekiwał od innych zaprzeczenia swoich postaw. W liście do przyjaciela Maxa Niedermayera z 1949 r. wyraził to najdobitniej: *narodowy socjalizm był autentycznym i dobrze przemyślanym projektem ratowania rozchwianego Zachodu. A że później przewagę w nim uzyskały elementy kryminalne i nieodpowiednie, nie jest moją winą i nie można było przecież wtedy tego przewidzieć.*

W 1951 r. po raz pierwszy i jedynty otrzymał prestiżową nagrodę Georga Büchnera Niemieckiej Akademii Języka i Literatury w Darmstadt. W 1955 r. był bardzo poważnym kandydatem do Nagrody Nobla. Zmarł 7 lipca 1956 r. na raka kręgosłupa.

Po polsku

Do roku śmierci Benn był w Polsce właściwie nieznany. Pierwszy jego wiersz we wła-

snym tłumaczeniu opublikował Witold Hu-
lewicz w poznańskim „Zdroju”, w 1936 r. pięć
jego wierszy włączył Stefan Napierski do
antologii „Liryki niemieckiej”, ale obecnie te
tłumaczenia bardzo źle są oceniane. Pierwszy
po wojnie większy tekst poświęcony Bennowi
ukazał się w paryskiej „Kulturze” w 1959 r.
Szerzej o poezji Benna pisali Jan Prokop w
książce „Euklides i barbarzyńcy” i Witold
Wirpsza w „Grze znaczeń”. Pełniejsze
omówienia poglądów znalazły się w książ-
kach: Wilhelma Szewczyka „Literatura nie-
miecka XX wieku” oraz Huberta Orłowskiego
w „Literaturze III Rzeczy”, ale duży wpływ na
zawarte tam opinie miały poglądy polityczne.
W ostatnich latach na łamach pism naukowych
ukazało się kilka artykułów omawiających
twórczość Benna.

Większy wybór wierszy Gottfrieda Benna
w przekładzie na język polski i opracowaniu
Krzysztofa Karaska ukazał się w 1982 r.
w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Tłu-
macz przyznaje się do fascynacji postacią
Benna i jego dorobkiem, czemu dał wyraz
w tomie wierszy „Prywatna historia ludzkości”.
*Sprawa Benna – pisał – wydała mi się jedną
z centralnych dla zrozumienia pisarskich
uwikłań w XX wieku.* Spośród ok. 300. wierszy
napisanych przez Benna do polskiego wyboru
Karaska weszło ok. 50 wierszy z pierwszego,
wczesnego okresu twórczości niemieckiego
poety i tylko 20 z lat późniejszych. Wiersze
tego bardzo trudnego dla translacji poety
ogłaszane na łamach prasy tłumaczyli także:
Witold Wirpsza, Feliks Przybylak, Robert
Mikulski, Jan Koprowski, Leszek Szaruga,
Adam Pomorski, Ziemowit Skibiński, Jacek
St. Buras.

Najważniejsze eseje, szkice i fragmenty pro-
zy Gottfrieda Benna w przekładzie na język
polski opublikowało Wydawnictwo Poznań-
skie w 1998 r., w wyborze i opracowaniu Hu-
berta Orłowskiego. Książka nosi tytuł „Po
nihilizmie”. Nie ma tam jednak np. wystąpie-
nia z marca 1933 r., w której opowiedział się
po stronie Hitlera, ponieważ polskie wyda-
wnictwo nie uzyskało prawa do jej publikacji.

Współczesny polski krytyk – Jerzy Łukosz
określił Benna jako *poetę wielu szczytów.*

Pisze: *Benn żąda od czytelnika więcej niż to, aby podązał z nim na wyżyny. On chce, aby na tych wyżynach na niego już czekał. Wiersze i eseje strzegą dostępu do siebie tym, którzy nie chcą lub nie są w stanie podjąć wysiłku przedzierania się przez gąszcz zjawisk, meandry intelektualnych metafor, labirynty zmysłowych pojęć. Praca ta wydaje się na miarę poszukiwaczy złota!*

Odnalezienie piękna, smaku, trzeba okupić przygotowaniem raczej duchowym niż erudycyjnym, większym niekiedy niż przy lekturze niejednego mędrca. Mędrzec uczy, Benn egzekwuje nauki.

Dzisiaj

W połowie lat 80. do Gorzowa przyjechał prof. neurologii Helmut Heintel, krewny Benna, aby obejrzeć miejsca, w których żył jego wuj. Wrażenia złożyły się na niewielką, ale istotną dla dokumentacji tematu książeczkę pt. „Block II, Zimmer 66. Gottfried Benn in Landsberg 1943-1945. Eine bildliche Dokumentation” („Blok II, pok. 66. Gottfried Benn w Landsbergu 1943-1945. Ilustrowana dokumentacja”). Znalazły się w niej widoki Landsberga i niemieckich koszar oraz krótkie cytaty, najczęściej z listów Benna, odnoszące się do wskazanych miejsc. Dziś w koszarach tych znajduje się Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa.

W 2003 r., w stulecie matury we Frankfurcie, w Muzeum im. Kleista we Frankfurcie nad Odrą zorganizowano wystawę „Gottfried Benn – uczeń we Frankfurcie n. Odrą. Trzy

nieznane listy do Marii Diers 1941-1944”. Wystawa pokazywała związki pisarza z Nową Marchią, w tym z Landsbergiem. W artykule Roberta Piotrowskiego o tej wystawie jej organizatorzy wyrażali nadzieję, że będzie ona pokazana również w Gorzowie. Nie była.

W 2006 r. minie 50 lat od śmierci Gottfrieda Benna. Pewnie warto wrócić do tego pomysłu.

Bibliografia:

Gottfried Benn, *Poezje wybrane*, wybór, przekład i opracowanie Krzysztof Karasek, Warszawa 1982.

Gottfried Benn, *Po nihilizmie*, wybór i opracowanie Hubert Orłowski, Poznań 1998.

W artykule korzystano także z:

Łukasz Jerzy, *Le style c'est le corps*, w: *Twórczość* 2000 nr 2.

Orłowski Hubert, *Literatura III Rzeszy*, Warszawa 1975.

Szewczyk Wilhelm, *Literatura niemiecka w XX wieku*, Katowice 1962.

Sauerland Karol, *Na pastwę płomieni – sytuacja literatury w pierwszych miesiącach istnienia III Rzeszy*, *Literatura na Świecie*, 1973 nr 3.

Sauerland Karol, *Ekspresjonizm a faszyzm czyli o niemieckiej dyskusji w latach trzydziestych*, *Literatura na Świecie*, 1979 nr 11.

Światłowski Zbigniew, *Benn czyli obojętność*, w: *Odra* 1973 nr 12.

Walkowiak Maciej, „*Podwójne życie*” *Gottfrieda Benna jako model egzystencji artysty i intelektualisty*, w: *Przeгляд Humanistyczny*, 1998 nr 2.

Wirpsza Witold, *Gottfried Benn*, w: *Gra znaczeń*, 1965.

Blok II pokój 66 (1944)

fragment

Gottfried Benn

Koszary położone były wysoko, dominowały nad miastem niczym zamczysko. Monsalvat, zauważył pewien porucznik, najwyraźniej obeznany z operami, i rzeczywiście były one niedostępne przynajmniej dla gapiów: trzeba było pokonać sto trzydzieści siedem schodków, by z ulicy Kolejowej dotrzeć do podnóża wzniesienia. Nic tak nie nastraja marzycielsko jak koszary! Okna pokoju 66 wychodzą na plac ćwiczeń, pod oknami trzy małe jarzębiny, owoce o zblakłej purpurze, krzewy pobrązowiałe.

Jest koniec sierpnia, jaskółki jeszcze śmigają, ale już zbierają się do odlotu. W jednym rogu ćwiczy orkiestra batalionowa, słońce skrzy się na trąbkach i perkusjach, grają popularne piosenki. Jest piąty rok wojny, a tu całkowicie odrębny świat, coś w rodzaju pustelni, odgłosy komend pozostają czymś zewnętrznym, wewnątrz wszystko jest przytłumione, ciche. Miasteczko na wschodzie, ponad nim ten płaskowyż, na nim nasz Monsalvat, jasnożółty budynek i ogromny plac ćwiczeń, coś jak pustynny fort. Najbliższa okolica również pełna osobliwości. Ulice, połowa w dolinie, połowa na wzgórkach, niebrukowane; pojedyncze domki, do których nie prowadzą żadne drogi, licho wie, jak mieszkańcy do nich się dostają; płoty jak na Litwie - omszałe, niziutkie, mokre. Wóz cygański przystosowany na mieszkanie. Pod wieczór nadchodzi mężczyzna z kotem na ramieniu, kot ma kolorową opaskę na szyi, zjeżdża z ramienia, chciałby na ziemię, mężczyzna śmieje się. Nisko przepływające chmury, czarne i fioletowe światło, z rzadka niebo się przeciera, w powietrzu nieustannie wisi deszcz, dużo topól. Na tle ściany jednego z domków, w sensie ogrodniczym zupełnie bez związku, trzy niebieskie róże tworzące kształt liry. Rankami nad osadą niesłychanie miękkie światło, jutrzienka. Tutaj też wszędzie ta aura nierzeczywistości, poczucie dwuwymiarowości rzeczy, świat kulis.

Wokół szopy na placu ćwiczeń bloki mieszkalne: marzenia senne. Nie sny o sławie, zwycięstwach, a sny o samotności, niepochwytności świata, szablonach. To, co rzeczywiste, odeszło daleko. Na frontowej ścianie bloku wejściowego, tzw. hali honorowej, wielkimi literami nazwisko generała: „Koszary im. Generała X”. Generał z pierwszej wojny światowej. Przez trzy dni wchodząc do bloku, pytałem prezentującego broń wartownika, czyje imię noszą koszary. Kim był generał von X? Żadnej odpowiedzi. Generał X nikomu nieznan. Zaginiony. Odszedł w niepamięć jego proporzec na samochodzie służbowym, świta sztabowców. Pamięć nie trwa dłużej niż dwa dziesięciolecia. (...)

Bloki zalewane są przez fale poborowych. Można rozróżnić dwa typy: szesnastolatków - niedożywieni, niepozorni, nędzni osobnicy w typie wołów roboczych, strachliwi, ulegli, pilni, oraz wiekowych - pięćdziesięcio- i sześćdziesięciolatkowie z Berlina. Pierwszego dnia to jeszcze paniska, ubrani po cywilnemu, kupują gazetę, dziarski krok, który ma oznaczać: jesteśmy syndykami, samodzielnymi maklerami, agentami ubezpieczeniowymi, mamy ładne żony, centralne ogrzewanie, ten stan przejściowy bynajmniej nas nie dotyczy. To jest nawet zabawne. Nazajutrz są już w mundurach i całkowicie zgnojeni. Teraz muszą gnać przez korytarz, gdy usłyszą wrzask podoficera, uwijać się na podwórku, wlec skrzynki, wciskać na głowę stalowe hełmy.

Szkolenie trwa krótko, dwa do trzech tygodni; ciekawe, że uczą się strzelać już od drugiego dnia, dawniej zaczynało się to dopiero po upływie czterech do sześciu tygodni. A potem, pewnej

nocy, zbiórka z tornistrem, zrolowanym płaszczem, pałatką, maską przeciwgazową, pistoletem maszynowym, karabinem - blisko sto kilo wagi - i na samochody, i jazda w mrok. Ten wymarsz w mrok jest niesamowity. Na przedzie niewidzialna orkiestra gra marsze, wesołe rytmy, za nią posuwa się niema kolumna, ciągnąca na zawsze w zapomnienie. To wszystko odbywa się bardzo szybko, to tylko drobna rysa na milczeniu i czerni. Pozostaje płaskowyż zanurzony w ciemnej nocy, gdzie nie odróżnisz ziemi ni nieba.

Następnego ranka przybywają nowi. Ci również odejdą. Na dworze podczas ćwiczeń jest teraz chłodniej. Poborowi otrzymują rozkaz rozcierania dłoni, pocierania dłońmi kolan, to poprawia krążenie, podtrzymuje życie, militarystyczna biologia. Bloki stoją, fale przelewają się z szumem. Wciąż nowe fale mężczyzn, nowe fale krwi, przeznaczone na to, by po kilku strzałach, po kilku wyuczonych chwytach bronią odejść w kierunku tak zwanego wroga i wsiąknąć we wschodnie stopy. Wszystko razem byłoby całkowicie niezrozumiałe, gdyby nie stała za tym wspaniała postać generała w purpurze i złocie, który strzela i każe strzelać, a jego emerytura nie jest jeszcze bezpośrednio zagrożona.

W porze obiadowej oficerowie spotykają się przy stole. Od początku wojny nie ma już różnicy w jedzeniu między oficerami i prostymi żołnierzami. Pułkownik i szeregowiec tak samo dostają dwa chleby komiśne na tydzień, do tego – na kawałku papieru – porcję margaryny i sztucznego miodu, na obiad na głębokim talerzu kapuśniak lub garść ziemniaków w mundurkach, które trzeba sobie obrać na stole (przykrytym ceratą, dopóki jest, albo „zorganizowanym” prześcieradłem), obrane ziemniaki kładzie się obok talerza, czekając na zupę lub sos.

Pułkownik dowodzący moim oddziałem zjawia się pewnego dnia - nie ogolony. Nie ma już zapasowych brzytw, ostrzyć też nie ma na czym. (...) Kawałek mydła do golenia musi wystarczyć na cztery miesiące. W oddziałowej fryzjerni nie wolno golić - brak materiałów. (...)

Tylko ludzie z półświatka noszą nowomodne krótkie sztyleciki - kawaleria nadal posługuje się długą szablą - kawaleria! - dzisiaj nic tylko oddziały rowerowe - rotmistrz - to już przeszłość - dzisiaj jest rowermistrz.

Był już piąty rok wojny, ponury rok znaczony klęskami, błędnymi rachubami, wypieraniem z kolejnych części świata, storpedowanymi okrętami, milionami trupów, zbombardowanymi metropoliami, a mimo to masy nadal słuchają bredzenia przywódców i we wszystko wierzą. Co do tego nie ma wątpliwości. Przynajmniej ci, których nie dotknęły bombardowania, święcie wierzą w nową cudowną broń, tajemnicze środki odwetowe, druzgocące przeciwuderzenia, które wkrótce nastąpią. Ci na górze i ci na dole, generałowie i kuchty. Mistyczne zjednoczenie błaznów, prelogiczny kolektyw ubogich doświadczeniem - coś na pewno typowo germańskiego, co da się w cerebralnym wymiarze wyjaśnić tylko w takim właśnie antropologicznym sensie. (...)

Armia w tym piątym roku wojny opiera się na dwóch filarach - podporucznikach i marszałkach, inne stopnie się nie liczą. Podporucznicy: wszyscy z Hitlerjugend, mają więc za sobą wychowanie, którego istotą było wykorzystanie wszelkich treści intelektualnych i moralnych z książek i zachowania. Jego namiastka to wodzowie Gotów oraz sztylety, a podczas marszów ćwiczebnych noclegi w stogach siana. Trzymani z dala od rodziców mających jeszcze tradycyjne wykształcenie, wychowawców, duchownych, środowisk humanistycznych, jednym słowem wszelkich podmiotów oświaty, a wszystko to już przed wojną: świadomie, w jasno określonym celu, w sposób dobrze przemyślany. Tak wyposażona młodzież przyjęła na siebie zniszczenie połowy świata jako aryjską misję. O marszałkach tylko jedno słowo: mało kto wie, że otrzymują oni dożywotnio pensję marszałka, i to nie opodatkowaną, także dożywotniego adiutanta spośród oficerów sztabowych, a gdy kończą czynną służbę - majątek ziemski lub obszerną działkę w berlińskiej dzielnicy Grunewald. Ponieważ w naszym państwie prawa ten, który mianuje marszałków, jest także tym, który ich degraduje, a w tej ostatniej funkcji nie cofa się przed groźbą pozbawienia tytułów, orderów, zaopatrzenia emerytalnego, a nawet represji

wobec rodziny marszałkowie jako dobrzy ojcowie rodzin są właściwie prawie że usprawiedliwieni, choć i tak nikt nie uważał ich za demonów.

Zastanawiając się nad obecną wojną i poprzedzającymi ją latami pokoju, o jednym nie wolno zapominać - o potwornej pustce egzystencjalnej dzisiejszego niemieckiego mężczyzny, któremu nie pozostawiono nic z tego, co u innych narodów stanowi treść życia wewnętrznego: uczciwe treści patriotyczne, życie publiczne, krytyczny odbiór rzeczywistości, życie towarzyskie, wrażenia kolonialne, autentyczna tradycja. U nas była tylko pustka wypełniana historycznym bełkotem, degradacją oświaty, bezczelnymi oszustwami politycznymi ze strony rządu i tanim sportem.

Tłumaczenie z niemieckiego Jan Koźbiał



Ponad brzegiem talerza

reportaż, Radio Zachód, luty 2003
(część II)

Cezary Galek

Henryk Bereska: Radość stałego podróŜowania do Polski... Często bywałem w kraju, odwiedzałem rodziców i śląskich przyjaciół, pisarzy. Bywałem teŜ w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu. RóŜewicza odwiedziłem w jego odludziu, w Gliwicach, gdy tłumaczyłem jego sztuki. To był okres moich częstych podróŜy z Niemiec do Polski, bardzo dla mnie wzbogacający. Nie mogłem wówczas jeździć na Zachód, za to w Polsce miałem dostęp do lektur, których nie było w NRD. Rozmawiając w Polsce z ludźmi nie trzeba się było obawiać, Ŝe doniosą. Z wieloma osobami moŜna było mówić otwarcie, nie to co w „kochanym” Berlinie Wschodnim. Byłem bardzo dokładnie obserwowany od początku lat sześćdziesiątych. Istnieją z tego okresu nagrania moich rozmów telefonicznych i inne. JuŜ nigdy w Ŝyciu nie będę mieć tak świetnej dokumentacji mego losu, mego Ŝycia.

Był potem ParyŜ, Londyn, Nowy Jork czy Italia – oczywiŝcie to są niezłe miejsca, ale ja miałem Polskę. Miałem Kraków, świetne Katowice, Warszawę i Wrocław. Tak naprawdę to Polska była dla mnie tym Zachodem. Miałem oczywiŝcie trudności z wydawaniem, bo energowcy byli tacy bojaźliwi... W trakcie tłumaczenia „Popiołu i diamentu” odzywali się recenzenci, którzy twierdzili, Ŝe przekładam tę książkę wyłączenie dlatego, Ŝe Andrzejewski wystąpił z partii. To były ich argumenty. Robiłem tłumaczenia prozy Borowskiego (m.in. „Proszę państwa do gazu”) do antologii; był powtórzony drugi nakład, wyrzucono go. Znawcy twierdzili, Ŝe nie tak wyglądały obozy i Ŝe to jest zakłamanie. Bo-

Über den Tellerrand hinaus

Eine Reportage von Cezary Galek,
Radio Zachód, Februar 2003,
(Teil II)

Henryk Bereska: Es war mir eine große Freude, ständig nach Polen reisen zu können... Oft hielt ich mich im Lande auf, besuchte meine Eltern und meine schlesischen Freunde, Schriftsteller. So kam ich auch hin und wieder nach Warschau, Krakau oder Breslau. RóŜewicz stattete ich einen Besuch in seiner Gliwicer Abgeschiedenheit ab, als ich an der Übersetzung seiner Dramen arbeitete. Das war die Zeit, in der ich sehr häufig von Deutschland nach Polen reiste, eine Zeit, die mich ungemein bereicherte. Damals durfte ich nicht in den Westen, in Polen hatte ich dafür Zugang zu verschiedener Lektüre, die in der DDR nicht erhältlich war. Wenn man sich in Polen mit den Leuten unterhielt, dann musste man sich keine Sorgen machen, dass sie einen meldeten oder Bericht erstatteten. Mit vielen konnte man einfach ganz offen sprechen, nicht so wie im „geliebten“ Ost-Berlin. Seit Beginn der 60-er Jahre wurde ich dort ganz genau observiert. Aus dieser Zeit gibt es einige Tonbandaufnahmen meiner Telefonate und anderer Gespräche. Nie wieder im Leben werde ich über eine solch akribische Dokumentation meines Schicksals, meines Lebens verfügen können.

Danach folgten Paris, London, New York und auch Italien: das sind alles selbstverständlich keine schlechten Orte – aber ich hatte mein Polen. Mein Kraków, mein feines Katowice, mein Warszawa und mein Wrocław. So richtig war für mich eigentlich Polen dieser Westen. Schwierigkeiten hatte ich natürlich beim Verlegen meiner Übersetzungen, weil die DDR-ler so furchtsam waren... Bei der Arbeit an der Übersetzung von „Asche und Diamant“ meldeten sich Rezensenten zu Wort, die meinten, ich würde nur deshalb mit der Übertragung des Werkes begonnen haben, weil Andrzejewski gerade aus der Partei ausgetreten war. Das waren halt ihre Argumente. Im Zuge der Übersetzung der Prosa Borowskis (u.a. „Proszę państwa do gazu“ [Bitte, meine Herrschaften, ins

Cezary Galek

rowski był nie do tłumaczenia. Wyrzucono to. Wygodzki był też nieprawomyślny, ponieważ wyjechał wtedy do Izraela. To, co się działo potem, w pięćdziesiątym szóstym roku, to była wielka rzecz. Oczywiście dla enerdoców to było nie do przyjęcia, ponieważ dla nich to był początek rewizjonizmu. Gomułka był wielkim rewizjonistą. Sytuacja moja była taka, że – jak twierdzono – próbuję, żeby przeniknęły te prądy rewizjonistyczne i traktowano mnie z takim wielkim niedowierzaniem. Sądziło się, że ja, Bóg wie jaką robotę wykonuję tych rewizjonistów, potem dysydentów. W końcu, w urzędzie, gdzie są gromadzone akta, dowiedziałem się, że byłem zaprzyjaźniony z Michnikiem, Kuroń, Mikołajską. To – niestety – było nieprawdą. Bardzo chętnie byłbym z nimi zaprzyjaźniony. Poznałem ich dopiero po upadku muru. Natomiast Józefa Lipskiego poznałem wcześniej. Nasze spotkania nad Wisłą były zbyt rzadkie, niestety... Takie chodzenie nad Wisłą w Warszawie... Wspaniałe to było. Miałem w związku z tym trochę kłopotów.

* * *

Narrator: W tej skomplikowanej rzeczywistości najbardziej cierpieli twórcy kultury, których osobiste zdolności i możliwości były tłumione lub też niszczone. Mieszkańcy wschodniej części Berlina, chociaż zastraszeni i kontrolowani przez władze, w otoczeniu rodzin i najbliższych przyjaciół obserwowali i interesowali się życiem Niemców z zachodniej części miasta.

* * *

Henryk Bereska: Moja żona bardzo lubi to śródmieście. Urodziła się na Invalidenstrasse. Jest typową mieszkanką tej dzielnicy. Po raz pierwszy przeniosła się czterysta metrów dalej, pod sam mur. To była nieprzyjemna historia z tym mieszkaniem. Mieszkailiśmy na czwartym piętrze, więc dobrze widzieliśmy Zachód. Było to dość dramatyczne, zaraz obok był kanał graniczny i często tam trwała strzelanina, jeździły karetki pogo-

Gas) für eine Anthologie in der zweiten Auflage, wurde Borowski einfach nicht aufgenommen. Die Fachleute behaupteten, dass so wie dort beschrieben, die Lager nicht ausgesehen haben und dass das alles eine Lüge ist. Borowski war einfach nicht zu übersetzen. Das Werk wurde kurzerhand herausgenommen. Wygodzki befand sich mit seinem Denken ebenso wenig „auf Linie“, da er damals nach Israel ausreiste. Das, was dann folgte, im Jahre '56, das war eine riesengroße Sache. Für die in der DDR war das freilich überhaupt nicht hinnehmbar, weil sich das für sie bereits als der Beginn des Revisionismus darstellte. Gomułka war auch ein großer Revisionist. Meine eigene Situation stellte sich so dar, dass ich – wie behauptet wurde – versuchen würde, diese revisionistischen Strömungen in die DDR hineinzutragen und man begegnete mir äußerst misstrauisch. Man dachte, ich würde Gott weiß was für Arbeit für jene Revisionisten, dann Dissidenten verrichten. Schließlich erfuhr ich dann nach meiner Akteneinsicht bei der Gauckbehörde, dass ich mit Michnik, Kuroń und Mikołajska befreundet gewesen sein soll. Das entsprach – leider – nicht der Wahrheit. Sehr gerne wäre ich mit ihnen befreundet gewesen, aber kennengelernt habe ich sie erst nach dem Fall der Mauer. Józef Lipski hatte ich dagegen schon früher kennengelernt. Aber unsere Treffen an der Weichsel waren leider viel zu selten... Solche Spaziergänge an der Weichsel in Warschau eben... Es war wundervoll. In Verbindung damit hatte ich schon ein paar Unannehmlichkeiten.

* * *

Erzähler: Unter dieser komplizierten Wirklichkeit litten am meisten die Kulturschaffenden, deren persönliche Begabungen und Möglichkeiten unterdrückt oder auch zerstört wurden. Die Bewohner Ost-Berlins, obgleich eingeschüchert und von den Funktionären kontrolliert, interessierten sich im Umfeld von Familie und engsten Freunden für das Leben der Menschen im Westteil der Stadt und beobachteten es im Rahmen ihrer Möglichkeiten recht genau.

* * *

Henryk Bereska: Meine Frau mag diese Innenstadt sehr. Sie kam in der Invalidenstraße zur Welt. Sie ist eine ganz typische Bewohnerin dieses Stadtteils. Zum ersten Mal zog sie vierhundert Meter weiter um, in ein Haus dicht an der Mauer. Mit dieser Wohnung verband sich eine insgesamt

towia. To było bardzo przykre. Dwadzieścia osiem lat tego stanu, gdy człowiek przechodzi obok i nic mu nie wolno... I ta dziwna niewiedza o tym, co się tam dzieje i ta, oczywiście, przesada w tym wyobrażeniu, że jaki to raj powinien być na Zachodzie. Byliśmy jedynym państwem, w którym cieszone się z powodu przejścia na rentę, ponieważ mając lat sześćdziesiąt pięć można było bez utrudnień dostać się na drugą stronę. Cały miesiąc wolno tam było przebywać...

* * *

Narrator: Z okna czwartego piętra pośród czerwonych klinkierów zwisają od świtu do zmierzchu dwie głowy. Ta biała – starej kobiety. Ta kruczoczarna – jej starego męża. Łapczywie wypatrują. Ulica Graniczna. Ślepy zaułek. Mur. Dzieje się tu niewiele. Nie ma tranzytu. Trzy sklepy. Na szczęście jest szpital. Tymczasem przyjeżdżają: karetka pogotowia z ofiarą lub bez. WOP-iści patrolują. Nie ważne co się dzieje. Grunt, że w ogóle coś.

* * *

Henryk Bereska: Często odwiedzali mnie też lewicowi pisarze zachodni, którzy twierdzili, że ja funkcjonuję w tym lepszym systemie, w tym lepszym państwie. Twierdzili, że my udusiliśmy kapitalizm, feudalizm, jesteście już na tym dalszym etapie, ale nic ich nie obchodziło co się na tym etapie wokół działo. Nie potrafili zauważyć. Wspaniale się czuli w NRD. Byłem tym mocno zdziwiony – ich niewiedzą, ich absolutną głupotą i tą wiarą w utopię. Normalny człowiek patrzył na to co się dzieje na ulicach i oceniał – sytuacja była trudna do przyjęcia, a oni tego nie zauważali. Dziwna była ta granica i dziwne te paradoksalne spotkania. Z Polakami spotkania były wspaniałe. Z nimi można się było dogadać, wszystko rozumieli. Odwiedzali mnie śląscy przyjaciele, także Różewicz bywał często. Bardzo lubił krupnioki, które moja żona potrafi robić. Zbigniew Herbert też przyjeżdżał często, gdy był w Berlinie Zachodnim. Trochę dla niego

sehr unangenehme Geschichte. Wir wohnten in der vierten Etage, also konnten wir gut in den Westen blicken. Das war ziemlich dramatisch, gleich nebenan befand sich der Grenzstreifen und Schusswechsel waren keine Seltenheit, Sirenen der Krankenwagen waren zu vernehmen. Das war sehr bedrückend. Achtundzwanzig Jahre, in denen man vorbeilief und nichts durfte... Hinzu kam dieses seltsame Unwissen darüber, was sich dort abspielte, und diese – natürlich – übertriebene Vorstellung, was für ein Paradies dieser Westen sein müsse. Wir waren der einzige Staat, in dem man sich freute, endlich in den Ruhestand gehen zu dürfen, da man mit fünfundsechzig endlich ohne weitere Schwierigkeiten diese Grenze überschreiten durfte. Und das gleich für einen ganzen Monat...

* * *

Erzähler: Aus dem Fenster im vierten Stock hängen vom Morgengrauen bis in die Abenddämmerung mitten zwischen den roten Klinkersteinen zwei Köpfe heraus. Dieser weiße – einer alten Frau. Dieser rabenschwarze – ihres alten Gatten. Gierig spähen sie. Grenzstraße. Sackgasse. Mauer. Viel passiert hier nicht. Kein Transitverkehr. Drei Läden. Zum Glück gibt es noch das Krankenhaus. Inzwischen fährt ein Krankenwagen vor: mit oder ohne Opfer. Grenzer patrouillieren. Nicht wichtig, was passiert, Hauptsache, irgendetwas ist im Gange.

* * *

Henryk Bereska: Häufig besuchten mich die der westdeutschen Linken angehörenden Schriftsteller, die behaupteten, ich würde hier im besseren System, im besseren deutschen Staate leben und arbeiten. Sie erklärten, dass wir den Kapitalismus und Feudalismus erstickt hätten, dass wir uns bereits auf einer weiteren Entwicklungsstufe befänden, aber es interessierte sie überhaupt nicht, was sich auf dieser Stufe um uns herum alles abspielte. Sie waren einfach nicht in der Lage, es zu bemerken. Sie fühlten sich wunderbar in der DDR, und ich war zutiefst verwundert: über ihr Unwissen, über ihre absolute Dummheit und über diesen Glauben an eine Utopie. Ein normaler Mensch schaute auf das, was sich auf der Straße ereignete, und bildete sich sein Urteil. Die Situation war nur schwerlich hinnehmbar, und die da bemerkten es einfach nicht. Die Grenze war seltsam, genauso wie diese paradoxen Treffen. Die Gespräche mit den Polen wiederum waren wundervoll. Mit ihnen konnte man sich unterhalten, sie verstanden alles. Zu

tłumaczyłem. Po kryjomu tłumaczyłem, tak nieoficjalnie, bo to było wtedy zabronione. Na tej ulicy Granicznej miałem wiele spotkań z Polakami. Przed upadkiem muru – taka sytuacja niepewna była. Wtedy już zdarzały się ucieczki wielu osób przez Czechosłowację, Węgry i Polskę, ale jeszcze ta pewność partii wyrażająca się słowami „niech sobie idą, nie jesteśmy od nich zależni”. W końcu jednak upadł mur. Byłem absolutnie tym zdumiony. Ogromne ilości wesołych ludzi, którzy wracają z Berlina Zachodniego albo jadą „na Berlin”. To było nie do pomyślenia. Dwadzieścia osiem lat... i ta strzelanina, i to zabijanie ludzi... A tu nagle otwartość. To było nie do uwierzenia dla mnie, dla żony, którzy przez dwadzieścia osiem lat mieliśmy widok na zabarykadowane przejście graniczne... Potem opisałem to w krótkim wierszu, te stopniowe zmiany.

* * *

Narrator: Invalidenstrasse w Berlinie. W listopadzie osiemdziesiątego dziewiątego roku po raz pierwszy przez most na drugą stronę. Straż graniczna sprawdza paszporty. Straż graniczna rzuca przelotnie okiem na paszporty. Straż graniczna nie rzuca okiem na paszporty. Strażnica graniczna znika. Znikają mury. Idę na spacer po strefie śmierci. Dzikie króliki zniknęły ze strefy granicznej, a niebawem i pamięć zaniknie.

* * *

Henryk Bereska: W pierwszych tygodniach po upadku muru wciąż dziwiła, zaskakiwała nas ta sytuacja, niesamowita sytuacja... Po dwudziestu ośmiu latach zakazów można było swobodnie przechodzić na drugą stronę...

* * *

Narrator: Położenie obywateli byłej NRD uległo radykalnej zmianie wraz z upadkiem muru berlińskiego. Europejski awans Berlina stworzył przed jego mieszkańcami wyjątkową szansę na aktywność, nowe doko-

Besuch trafen meine schlesischen Freunde ein, auch Rózewicz war häufig zu Gast. Besonders mochte er die Graupenwurst, die meine Frau ganz vorzüglich zubereitete. Zbigniew Herbert kam ebenso häufig vorbei, wenn er sich in West-Berlin aufhielt. Ich habe für ihn auch ein wenig übersetzt. Heimlich, inoffiziell, weil das damals verboten war. In dieser Grenzstraße traf ich mich häufig mit Polen. Vor dem Fall der Mauer, da war die Situation recht unsicher. Zu dieser Zeit flüchteten bereits viele DDR-Bürger über die Tschechoslowakei, über Ungarn und Polen, aber die Selbstsicherheit der Partei drückte sich noch immer in den Worten aus: „Sollen sie doch gehen, von denen sind wir nicht abhängig“. Schließlich aber fiel die Mauer. Ich war höchst erstaunt darüber. Scharen von fröhlichen Menschen, die aus West-Berlin zurückkehrten oder „nach Berlin“ fuhren. Daran war vorher nicht einmal zu denken. Achtundzwanzig Jahre... diese Schusswechsel, diese Toten an der Mauer, dieses Morden... Und plötzlich diese Grenzenlosigkeit. Das war für mich, für meine Frau nicht zu glauben, die wir achtundzwanzig Jahre lang auf diesen zubarrikierten Grenzübergang blicken mussten... Danach habe ich diese schrittweisen Veränderungen in einem kleinen Gedicht beschrieben.

* * *

Erzähler: Invalidenstrasse in Berlin. November 'neunundachtzig – zum ersten Mal über die Brücke auf die andere Seite. Die Grenzpolizei überprüft die Pässe. Die Grenzpolizei überfliegt mit einem Auge die Pässe. Die Grenzpolizei wirft den Pässen keinen Blick zu. Der Grenzposten verschwindet. Die Mauer verschwindet. Ich spazierte im Todesstreifen. Die Wildkaninchen sind aus der Grenzzone verschwunden und demnächst verschwindet auch die Erinnerung an all dies.

* * *

Henryk Bereska: In den ersten Wochen nach dem Mauerfall verwunderte, versetzte uns diese Situation, diese unglaubliche Situation noch immer in Staunen... Nach achtundzwanzig Jahren des Verbots konnte man einfach frei hinüber auf die andere Seite gehen...

* * *

Erzähler: Die Lage der ehemaligen DDR-Bürger änderte sich mit dem Fall der Berliner Mauer radikal. Der europäische Aufstieg Berlins

kania i funkcjonowanie w nowym wymiarze oraz szansę kreowania światowych trendów w różnych obszarach życia.

* * *

Henryk Bereska: Książki w NRD były stosunkowo tanie. Później proporcje się zmieniły, a kupowanie książek stało się kosztowne. Zmieniły się priorytety, i tak: podróżowanie było numer jeden, auta – numer dwa, potem zaraz konsumpcja, a książki dużo dalej. Na szczęście można było kupić wiele świetnych książek na polskich targach i to bardzo tanio. Również z wydawnictwami były problemy. Zostało ich jeszcze sporo, ale oczywiście miały ciężki los. Po upadku muru mnóstwo autorów przyjechało na stypendia. W Berlinie byli właściwie wszyscy: Zbigniew Herbert, Różewicz, Bocheński, Zagajewski. Odbywały się i odbywają się nadal częste spotkania z autorami polskimi w księgarniach, w domach literackich. Byłem zachwycony, że mogłem nareszcie wydać, mogłem tłumaczyć tych autorów, których przedtem tłumaczyć nie mogłem – był Miłosz „Rok myśliwego”, duże fragmenty Myśliwskiego, Kisielewskiego z jego „Dzienników”, Herlinga-Grudzińskiego i sporo esejów Zagajewskiego. Właściwie na brak pracy nie można było narzekać.

Po upadku muru nasze życie się trochę zmieniło. Natychmiast poleciliśmy do Londynu, potem Paryża, Nowego Jorku, Rio de Janeiro, Hong Kongu. Po prostu takie nagle, szalone podróże. Najpierw świat, a potem okazało się, że jednak Polska, że Polska dla mnie jest coraz bardziej ważna. To jest też kwestia starości, że człowieka, który zbliża się do kresu, pociąga bywanie w regionach młodości czy dzieciństwa. Poza tym mam jeszcze krewnych na Śląsku i przyjaciół, więc podróżuję sobie. Mam tutaj bratanicę, której dzieci, w wieku siedem i dziewięć lat, wspaniale się odnajdują się w Berlinie, mówiąc genialnie po polsku i po niemiecku. Jest to więc dla mnie bardzo piękna przystań, ponieważ człowiek może się posługiwać dwoma językami. Są takie historie, takie

eröffnete seinen Einwohnern die einmalige Chance, ihrem neuen Tatendrang nachzugehen, Neues in dieser neuen und unbegrenzten Welt zu vollbringen sowie Welttrends in den verschiedensten Lebensbereichen zu setzen.

* * *

Henryk Bereska: Die Bücher in der DDR waren verhältnismäßig preiswert. Später veränderten sich die Verhältnisse und der Bücherkauf wurde eine kostspielige Angelegenheit. Die Prioritäten veränderten sich, wurden neu gesetzt: Nummer eins war das Reisen, Autos die Nummer zwei, danach kam der Konsum, und Bücher waren weit abgeschlagen. Zum Glück konnte man viele wunderbare Bücher auf den polnischen Märkten erwerben, und das sehr preiswert. Auch mit den Verlagen gab es Probleme. Es überlebte noch eine ganze Menge von ihnen, aber sie hatten natürlich ein schweres Schicksal zu tragen. Nach dem Fall der Mauer reiste eine Vielzahl von Schriftstellern an, die mit Stipendien unterstützt wurden. In Berlin waren eigentlich alle: Zbigniew Herbert, Różewicz, Bocheński, Zagajewski. Es gab und gibt noch immer unzählige Treffen mit polnischen Autoren in den Buchhandlungen und Literaturhäusern. Ich war überglücklich, dass ich endlich all jene Autoren übersetzen und deren Werke herausgeben durfte, die vorher verboten waren: „Rok myśliwego“ [Das Jahr des Jägers] von Miłosz, große Fragmente des Werkes von Myśliwski, aus den „Dzienniki“ [Tagebüchern] von Kisielewski, von Herling-Grudziński sowie einige Essays von Zagajewski. Über fehlende Arbeit konnte man eigentlich nicht klagen.

Nach dem Mauerfall veränderte sich unser Leben ein wenig. Sofort flogen wir nach London, danach nach Paris, New York, Rio de Janeiro, Hongkong. Einfach solche plötzlichen, verrückten Reisen. Erst einmal in die Welt, aber im Nachhinein stellte sich heraus, dass es dennoch Polen, dass es Polen war, das für mich immer wichtiger wurde. Das ist auch eine Frage des Alters, dass es den Menschen, dessen Leben sich seinem Ende zuneigt, gen der alten Heimat, in die Gegend, wo er seine Kinder- oder Jugendjahre verbracht hat, zieht. Außerdem habe ich noch Verwandte in Schlesien und Freunde, also unternehme ich Reisen. Hier habe ich eine Nichte, deren Kinder, im Alter von sieben und neun Jahren, sich ganz ausgezeichnet in Berlin zurecht finden und hervorragend sowohl Polnisch als auch Deutsch sprechen. Für mich also ist das ein sehr

związki polsko-niemieckie, gdzie to jest naturalne. W ten sposób chyba mogłaby się rozwinąć Europa związana przyjaźniami, które ogarniają różne strefy, nie tylko te – w jakimś regionie, u siebie w ogródku, ale po prostu spojrzeniem ponad brzeg talerza.

Człowiek jest trochę zależny od tego kiedy się urodził, gdzie się urodził. Geografia... historia... Mój życiorys dowodzi, że te straszliwe historyczne wydarzenia, te kataklizmy doprowadziły do tego, że potrafiłem coś pożytecznego zrobić w życiu, a więc ma to jakiś sens to pochodzenie, to znalezienie się w sytuacji, w której ja się znalazłem w Berlinie powojennym. Te spotkania z ludźmi..., spotkanie z Borowskim było decydujące. To są rzeczy, w których przypadek, powołanie było decydujące, np. to, opisywane wcześniej, moje spotkanie z Jakałą... To są reakcje na pewne sytuacje. To wszystko związane jest z osobowością śląską, gdzie jest jakaś wytrwałość, konsekwencja, niekonieczne dbanie o karierę, tylko robienie tego, co się robi solidnie i tak wytrwale. To ma jakiś logiczny ciąg. Związane jest to z charakterem i z historią, oczywiście. Gdyby to nie była ta historia, to sprawy mogłyby prowadzić do czegoś innego. Na przykład mój brat został w Polsce. Przypuszczam, że gdybym miał szansę powtórzenia tego mojego życia, powiedzmy od roku siedemnastego, osiemnastego, nie wiedząc o niczym co mnie czeka, być może postąpiłbym podobnie.

* * *

Narrator: Urodziłem się na górnośląskim styku trzech krajów, osiem lat po pierwszej i trzynastu lat przed drugą wojną. Z Marii i Józefa – moich rodziców. Byłem przewoźnikiem. Wiozłem cenne ładunki na drugi brzeg, w niemiecki las liter. Słowa polskiej poezji.

schönes Rückzugsgebiet, weil man sich hier zweier Sprachen bedienen kann. Es gibt solche Geschichten, solche deutsch-polnischen Beziehungen, in denen das ganz natürlich ist. Auf diese Art und Weise könnte sich Europa wohl entwickeln, mit Freundschaften, die unterschiedliche Gebiete umfassen, und nicht nur diese – in irgendeiner Region, bei sich im Garten, aber einfach mit einem Blick über den Tellerrand hinaus.

Der Mensch ist ein wenig abhängig davon, wann er geboren wurde und wo. Geographie... Geschichte... Mein Lebenslauf stellt unter Beweis, dass diese schrecklichen historischen Ereignisse, diese Kataklismen dazu geführt haben, dass ich etwas Vorteilhaftes im Leben vollbringen konnte, und dass es also irgendeinen Sinn hatte, diese Herkunft, dieses sich in einer Situation wiederfinden, in der ich mich im Berlin der Nachkriegszeit wiedergefunden habe. All die Treffen mit Leuten..., von denen das Treffen mit Borowski das ausschlaggebende war. Das sind Sachen, in denen der Zufall, die Bestimmung entscheidet, wie z. B. meine – bereits früher beschriebene – Begegnung mit dem Stotterer... Das sind Reaktionen auf bestimmte Situationen. All dies ist verbunden mit der schlesischen Mentalität, in der es eine bestimmte Ausdauer und Konsequenz gibt, in der man sich nicht unbedingt um die Karriere sorgt, sondern das tut, was man solide tut und diese Beharrlichkeit ergibt. Das hat einen gewissen logischen Zusammenhang und steht mit dem Charakter und der Geschichte im Zusammenhang, klarer Weise. Weil wenn es nicht mit dieser Geschichte verbunden wäre, dann könnte die Angelegenheiten auch zu etwas anderem führen. Mein Bruder zum Beispiel blieb in Polen. Ich vermute, dass wenn ich eine Chance hätte, dieses mein Leben noch einmal zu wiederholen, sagen wir mal ab dem siebzehnten, achtzehnten Lebensjahr, ohne zu wissen, was mich da erwartet, ich würde diesen Lebensweg wohl ähnlich gestalten.

* * *

Erzähler: Ich bin im oberschlesischen Dreiländereck auf die Welt gekommen. Acht Jahre nach dem ersten und dreizehn vor dem zweiten Weltkrieg, als Sohn meiner Eltern – Maria und Josef. Ich war ein Fährmann, der die Ladung von einem Ufer an das andere übersetzte, in das deutsche Buchstabendickicht. Worte der polnischen Poesie.

Übersetzt von Grzegorz Załoga

Przenosić światło, przynosić nadzieję

Rozważania tłumacza

Eugeniusz Wachowiak

1.

Mimo zakreślenia czasowych granic mego wystąpienia, które, zdawałoby się, nie pozwolą na przedstawienie zarysu mojej pracy tłumacza literatury pięknej sięgającej roku 1960, roku mojego prasowego debiutu translatorskiego, postanowiłem przedstawić ważniejsze zdarzenia w tej pracy w kolejności następstwa czasu, a zatem lat, i to kilku dziesiątek.

Do wybuchu wojny w 1939 roku, mieszkając z rodzicami na polsko-niemieckim pograniczu, wzrastałem jako dziecko w pogranicznym środowisku wraz z trafiającymi się w nim niemieckimi rówieśnikami, co wywarło piętno na moim dalszym życiu. Koncentrując się tutaj na pracy translatorskiej pragnę zaznaczyć, że wcześniej, bo w roku 1954, opublikowałem swój pierwszy wiersz, a w roku 1958 pierwszą książkę poetycką. Pragnę także dorzucić i ten fakt, że nie będąc z wykształcenia germanistą ani polonistą, dla jednych i drugich pozostaję outsiderem.

Sam uważam się za urodzonego „w czepku”, jako że opatrność (inni nazwą to genami) uposażyła mnie w umiejętność zabawy słowem, czy to w polskim czy niemieckim języku, albo za „kundla” (przepraszam za tę nieszkodliwą autoironię), lecz każdy przecież wie, jakimi zalecaniami wyróżniają się owe stworzenia.

Moim hobby, moim zamięłowaniem, które przerodziło się w uprawiany przeze mnie zawód jest poszukiwanie, drążenie, szperanie w dawnych i współczesnych słownikach, leksykonach, kompendiach i atlasach. Na zakończenie tego akapitu pragnę zacytować pytające wyznanie pisarza Johanna Poethena: „Dlaczego akurat musiałem zakochać się w Grecji?”. Jeżeli chodzi o mnie, mogą te słowa przytoczyć w odniesieniu do języka niemieckiego. Natomiast urodzony w 1928

Licht herübertragen, Hoffnung bringen

Erwägungen eines Übersetzers

Eugeniusz Wachowiak

1.

Es wird eigentlich schwierig in wenigen Worten über meine seit 1960 (Jahr des Pressedebüts) andauernde Tätigkeit als Übersetzer zu berichten.

Ich habe mich entschlossen, aus meiner Vita einige ausschlaggebende Vorkommnisse vorzutragen, und dies der Reihe nach, wie es die Zeit, die Jahre und Jahrzehnte mit sich brachten.

Als Kind des deutsch-polnischen Grenzgebietes (bis 1939) bin ich auch mit deutschen Gleichaltrigen aufgewachsen, was zu späteren Konsequenzen führte. Hinzufügen möchte ich, daß, bevor ich zum Übersetzen kam, ich mein erstes Gedicht (1954) und meinen ersten Lyrikband (1958) veröffentlichte. Sowohl für die Polonisten, als auch für die Germanisten existierte ich als Aussenseiter, weil ich weder Polonist noch Germanist bin.

Ich bezeichne mich deswegen, entweder als „Glückspilz”, den die Vorsehung (manche werden das „Gene” nennen) mit der Fähigkeit zu einem Spiel mit dem polnischen und dem deutschen Wortschatz beschenkte, oder als einen „Köter” (bitte um Entschuldigung für diesen kleinen witzigen Eigenspott), zumal jeder von uns weiß, mit welchen Eigenschaften diese Wesen ausgestattet sind.

Mein Hobby, mein Steckenpferd, das sich zu meinem Beruf entwickelte ist das Recherchieren, das Grübeln, die Suche in alten und zeitgenössischen Wörterbüchern, Lexika, Fachbüchern und Atlanten. Hierbei möchte ich das Bekenntnis des Dichters Johannes Poethen zitieren: „Warum habe ich mich in Griechenland verliebt”. Ich, könnte mein Bekenntnis auf die deutsche Sprache übertra-

Eugeniusz Wachowiak

roku i mieszkający w Weimarze pisarz Armin Müller mógłby wyznać, że zakochał się w Polsce i że tu znalazł swego przyjaciela.

A zatem Armin Müller i wydarzenia lat pięćdziesiątych, lat zimnej wojny i amerykańskich prób z bombą atomową na Pacyfiku, w wyniku których śmiertcionośne promienie zatruwały wody, ryby oraz ludzi, którzy je spożywali. Tom Armina Müllera *Schwarze Asche, weiße Vögel* (*Czarny popiół, białe ptaki*), wydany przez Verlag Neues Leben w Berlinie w 1958 roku, zawiera poemat *Ich habe den Thunfisch gegessen* (*Zjadłem tuńczyka*) ze słowami usprawiedliwiającego żalu:

*Zjadłem tuńczyka
dlatego nie przyjdę gołąbko.
Twój włos
biczujący w ciemne noce
moje ramiona
jest szumem uchodzących godzin.
Zapraszajęco rozchylonej
nie odwiedzę.
Noc wniósłbym w łono Twoje
gołąbko.
Owoc czarny spadłby
spod Twego serca.
Nie przyjdę.*

Zjadłem tuńczyka.

Poemat ten został przeze mnie przetłumaczony i opublikowany 30 kwietnia 1960 roku w „Tygodniku Zachodnim” w Poznaniu i był to mój translatorski debiut. Egzemplarz zawierającego utwór czasopisma dotarł do rąk autora, który w 1963 roku zaprosił mnie do Weimaru. Rok później poeta przyjechał do Polski i odwiedziliśmy miasto jego urodzenia Świdnicę, a także Wrocław, Zakopane, Kraków. W efekcie tej podróży powstały nostalgiczne (oprócz tego przyjazne Polsce) wiersze, które Armin Müller jako pierwszy niemiecki poeta poświęcił swojej utraconej „małej ojczyźnie” i twory te złożyły się na tom *Reise nach S. (Podróż do S.)*, wydany przez Verlag Neues Leben w Berlinie w 1965 roku, ilustrowany grafiką polską, o którym profesor Hans Koch napisze: „(...) w tych wierszach urodzony na Śląsku poeta ujawnia swój osobisty stosunek do

gen. Und der in Schweidnitz im Jahre 1928 geborene und in Weimar wohnende Schriftsteller Armin Müller könnte bekennen, daß er sich in Polen verliebte und hier seinen Freund fand.

Jedoch eine Anmerkung: meine Äusserungen betreffen nur Lyrik, unabhängig von Grenzen, und ihren Autoren, wenn sie die Würde der Mitmenschen nicht ignorieren.

Also zu Armin Müller und zu den Ereignissen der fünfziger Jahre, den Jahren des Kalten Krieges und der amerikanischen Atombombenversuche auf dem Pazifik, als tobringende Strahlen die Gewässer und damit die Fische und ihre Verzehrter tödlich verseuchten. Der von diesem Dichter stammende Band *Schwarze Asche – Weiße Vögel* enthielt das Poem *Ich habe den Thunfisch gegessen* und in ihm lesen wir die ergreifenden Worte:

*Ich habe den Thunfisch gegessen,
darum darf ich nicht zu dir kommen
meine Taube.
Die knisternde Nähe deines Haars,
das die Schultern mir peitschte
in den blauen Nächten,
ist wie das Summen entglittener
Stunden. Der Kelch deiner Schenkel
öffnet sich, doch ich darf
nicht zu dir kommen.
Ich trüge dir die Nacht in den Schoß,
meine Taube. Schwarze Früchte
müßten von deinem Herz fallen,
nein, ich darf nicht zu dir kommen.*

Ich habe den Thunfisch gegessen.

Dieses Poem brachte ich der polnischen Sprache bei, und es wurde am 30 IV 1960 in der Wochenschrift „Tygodnik Zachodni” in Posen veröffentlicht, und das war der Beginn. Ein Exemplar der Zeitschrift mit diesem Poem gelangte zum Autor, der mich 1963 nach Weimar einlud. Ein Jahr später kam er zu mir nach Polen zu Besuch, während dem wir seinen Geburtsort Schweidnitz (Świdnica), ferner Breslau, Zakopane, Krakau und andere Orte besuchten. Als Resultat dieser Reise

polskiego narodu”, i dalej: „cykl ten należy do najważniejszych publikacji poezji lat sześćdziesiątych”.

W roku 1966 Armin Müller przybywa z Reinerem Kunze do Zielonej Góry, gdzie rok wcześniej opublikowałem miniantologię poezji niemieckiej *Dopóki serce bije* (Lubuskie Towarzystwo Kultury, Zielona Góra 1965), w której znajduje się między innymi wiersz Kunzego *Das Schlagen des Herzens* (*Dopóki serce bije*) z tomu *Vögel über dem Tau* (*Ptaki nad rosą*), wydany przez Mitteldeutscher Verlag, Halle / Saale 1959, kończący się słowami:

*lecz odczujemy
dłonie te które w nas ugodzą
lub
dłonie te które za nas staną.*

Byliśmy również we Wrocławiu w redakcji „Odry”, w teatrze Jerzego Grotowskiego, zwiedziliśmy gotycki ratusz i barokową Aulę Leopoldina.

Reiner Kunze wygłosił w Zielonej Górze apel o utworzenie międzynarodowej grupy młodych poetów „Kleine Schar”: „Zespolic powinni się ci, którzy odczuwają potrzebę przynależności do grupy”. I dalej kontynuował zdania, których w Niemieckiej Republice Demokratycznej nie mógłby publicznie wypowiedzieć: „Każdy, kto czuje swój związek z grupą, przenosi ze świata poezji innych poetów przez granice, tyle ile tylko to jest możliwe. I tym wypełnia większość czasu, która mu pozostaje z dnia wtędy, kiedy już wszystko co własne powiedział. Przenosić przez granice nie oznacza jedynie, by tylko tłumaczyć (*übersetzen*). Oznacza to, by także postawić na swoim (*durchsetzen*)”. Kunze pobudził tym apelem młodą poezję, o ile wiem, w Czechosłowacji, Rumunii, Polsce i w NRD. Zaprzyjaźniliśmy się i kiedy podczas Praskiej Wiosny otrzymał przyznaną mu przez odrodzony Związek Pisarzy Czechosłowackich Nagrodę dla Tłumacza Literatury Czeskiej i Słowackiej; uradowany „Igel” („Jeź”), jak sam się podpisywał, przysyłał mi często wieści i pozdrowienia z Pragi. Nie od rzeczy będzie, jeśli dodam, że korespondencja z Kunzem i tekst jego apelu (a także listy innych autorów) znalazły swoje miejsce w Deutsches Literaturarchiv w Marbach nad Neckarem.

schuf Armin Müller als erster deutscher Dichter, eine Reihe nostalgischer (zudem auch polenfreundlicher) Gedichte über seine verlorene Heimat, die den Lyrikband *Reise nach S.* gestalteten. Professor Hans Koch schrieb über dieses Buch: „(...) in ihnen (den Versen) dokumentiert sich das persönliche Verhältnis des in Schlesien geborenen Dichters zum polnischen Volk”, und weiter: „dieser Zyklus gehört zu den wichtigsten Erscheinungen in der Lyrik der 60er Jahre”.

Armin Müller kam mit Reiner Kunze im Jahre 1966 nach Zielona Góra (Grünberg), wo ich zu der Zeit auch tätig war und wo ich ein Jahr vorher eine Miniantologie *Dopóki serce bije* (*Bislang das Herz schlägt*) veröffentlichte, u.a. Mit dem Gedicht *Das Schlagen des Herzens* von Reiner Kunze. Es endet mit den Worten:

*Wir
empfinden
die Hände, die uns schlagen,
die Hände, die uns beistehen.*

(aus dem Band *Vögel über dem Tau*, 1959)

Wir besuchten in Breslau auch die Redaktion der Zeitschrift „Odra”, das experimentale Jerzy-GrotowskiTheater, das gotische Rathaus und die barockische Aula Leopoldina.

In Grünberg hielt Reiner Kunze seinen Vortrag über eine „Kleine Schar”, die er international bilden möchte, eine Schar junger Lyriker. „Zusammenhalten müssen diejenigen, die sich dieser «Kleinen Schar» zugehörig fühlen”. Und weiter spricht Kunze zu uns solche Worte, die er in der DDR nicht zum Ausdruck bringen könnte. „Ein jeder der sich der «Kleinen Schar» zugehörig fühlt, trägt von der poetischen Welt der anderen so viel wie möglich über die Grenzen. Er füllt einen großen Teil seiner Zeit damit aus, die ihm bleibt vom Tag, wenn er das Eigene gesagt hat. Über die Grenzen tragen heißt dabei nicht nur übersetzen. Es heißt auch durchsetzen”. Mit diesem Aufruf bewegte Kunze junge Lyrik in der Tschechoslowakei,

Dzięki przyjaźni z Reinerem Kunze poznałem mieszkającego w berlińskiej dzielnicy Wilhelmshagen poetę Bernda Jentscha, zaprzyjaźnionego z Johannesem Bobrowskim i należącego do Friedrichshagener Kreis, Kręgu z Friedrichshagen, nieformalnej grupy pisarzy skupionych wokół nestora poetów Ericha Arendta, z którą byli również blisko poeci Heinz Czechowski, Karl Mickel i inni.

Urodzony w 1917 roku, w Tylży, Johannes Bobrowski, lata gimnazjalne (1928-1937) spędził w Królewcu. W 1938 roku rodzice przenoszą się do Berlina, lecz zmobilizowany na wojnę z Polską Johannes znajduje się w roku 1939 jako żołnierz w północno-wschodniej Polsce, a więc w pobliżu swojej „małej ojczyzny”, gdzie w czasie wojny weźmie ślub z Johanną Buddrus. Wojenna zawierucha spowodowała, że w latach 1941-1949 najpierw w szeregach agresora, a potem jako jeńiec znalazł się w Rosji, a zatem w jednym z krajów swojej Sarmacji, bo pod tym określeniem według jego założenia mieściły się Prusy Wschodnie (kraina, w której się urodził na pierwotnej Ziemi Prusów), Litwa i kraje bałtyckie w górę aż do Finlandii, Rosja po Ural i w dół do Morza Czarnego, Polska i wreszcie Bałtyk, *Mare Balticum*, sarmacki ocean, aż ku Szwecji.

Pierwszy tom wierszy Bobrowskiego, który ukazał się w 1961 roku nakładem Union Verlag w Berlinie, wziął stąd swój tytuł *Sarmatische Zeit* (*Sarmacki czas*). W tym także roku Bobrowski formułuje ważną wypowiedź do wydanej w 1962 roku przez Moderner Buchclub w Darmstadt antologii Hansa Bendera *Widerspiel – Deutsche Lyrik seit 1945 (Kontrast – Poesja niemiecka od 1945 roku)*: „Pisać zacząłem w 1941 roku nad jeziorem Ilmen o rosyjskim krajobrazie, ale jako obcy, jako Niemiec. Z tego powstał taki mniej więcej temat: Niemcy i europejski Wschód. Ponieważ wzrastałem po obu stronach Niemna, gdzie żyli Polacy, Litwini, Rosjanie, Niemcy, a pośród nich Żydostwo. Długie dzieje nieszczęść i win od czasów Zakonu Krzyżackiego (...)”. Natomiast cztery lata później, w maju roku 1965, w rozmowie z Irmą Reblitz uzupełnia: „Pierwszy impuls, by opisywać tylko krajobraz, dzięki wojennym i powojennym przeżyciom pragnę poszerzyć i pisać teraz o krajobrazie i o ludziach, aby moim niemieckim rodakom powiedzieć coś,

Rumänien, Polen und in der DDR. Wir würden Freunde, und als 1968 während des Prager Frühlings Reiner den Preis des erneuten Tschechoslowakischen Schriftstellerverbandes für Übersetzer bekam, schickte er, der vor Freude jubelnde „Igel” (wie er sich selbst nannte), mir Grußworte aus Prag. Hinzufügen möchte ich noch, daß Kunzes Aufruf und seine Korrespondenz mit mir ihren ehrenvollen Platz im Marbacher Literaturarchiv fand.

Dank der Freundschaft mit Reiner Kunze, hatte ich in Berlin-Wilhelmshagen den Lyriker Bernd Jentsch kennengelernt, der mit Johannes Bobrowski befreundet war und der dem „Friedrichshagener Kreis” um Erich Arendt mit Heinz Czechowski, Karl Mickel u.a., angehörte.

Johannes Bobrowski, in Tilsit im Jahre 1917 geboren, verbrachte seine Schulzeit (1928-1937) in Königsberg. Eingezogen im Jahre 1939, kam er als Soldat in den Nordosten Polens, unweit von seiner Heimat, in der er während des Krieges sich mit Johanna Buddrus vermählte. In den Jahren 1941-1949 verweilte er unfreiwillig in Rußland, also in einem der Länder seines Sarmatiens, und als Sarmatien bezeichnete Bobrowski Ostpreußen (sein Geburtsland und ursprünglich Land der Pruzzen), Litauen und die baltischen Länder bis hinauf nach Finnland, ebenso Rußland bis zum Ural und hinab ans Schwarze Meer, dazu Polen und schließlich über die Ostsee hinweg das *Mare Balticum* sarmatischer Ozean, bis nach Schweden. Sein erster Lyrikband, der im Jahre 1961 erschien, nimmt von hieraus seinen Namen *Sarmatische Zeit*. In demselben Jahr formulierte Bobrowski eine wichtige Äusserung für die von Hans Bender herausgegebene Anthologie *Widerspiel Deutsche Lyrik seit 1945*, in der er sich zu seinem Thema bekannte: „Zu schreiben habe ich begonnen am Ilensee 1941, über russische Landschaft, aber als Fremder, als Deutscher. Daraus ist ein Thema geworden, ungefähr: die Deutschen und der europäische Osten. Weil ich um die Memel herum aufgewachsen bin, wo Litauer, Russen, Deutsche miteinander

czego nie wiedzą”, i dalej: „myślę, że życia mi nie starczy, aby opowiedzieć to, co by jeszcze należało”. Pesymistyczny zarzut i pełen nadziei zamiar, który 2 września 1965 roku zniweczyła śmierć pisarza.

Johannes Bobrowski swoim dziełem porusza sumienie wielu Niemców i byłby rad widząc, jak Karl Dedecius, Klaus Stemmler, Henryk Bereska i inni tłumacze budują i wzmacniają polsko-niemiecki pomost. Później dołączą do nich inni pisarze, między innymi Michael Zeller i Tina Strohecker.

Johannes Bobrowski zafascynował mnie zarówno swoją ideą, jak i twórczością. Zagadkowe, wręcz niesamowite wrażenie wywarł na mnie jego wiersz *Kolnoer Tanz* (*Kolneński taniec*), który otrzymałem jeszcze przed publikacją. Znalazł się on w moim przekładzie na łamach zielonogórskiego „Nadodrza” w czerwcu roku 1965. Rok później został opublikowany w tomie *Wetterzeichen* (*Oznaki pogody*), wydanym przez Union Verlag w Berlinie. Po lekturze książki Gerharda Wolfa *Beschreibung eines Zimmers* (*Opisanie pewnego pokoju*), wydanej w tymże wydawnictwie w 1971 roku, nadarzyła się okazja, abym wraz z Berndem Jentzschem znalazł się 22 marca 1975 roku w mieszkaniu poety przy Ahornallee 26. Jego dawny mieszkaniec znalazł miejsce ostatniego spoczynku opodal swojego domu. „Za wcześniej Bóg powołał Cię do grobu / Lecz nie smuć się, podążamy tam za Tobą”, można w tym miejscu powtórzyć. Johannesowi Bobrowskiemu poświęciłem wiersz, zaś w 1976 roku ukazał się w moim przekładzie w Państwowym Instytucie Wydawniczym w Warszawie wybór wierszy tego wybitnego poety, wyróżnionego nagrodami we wszystkich krajach niemieckojęzycznych. Zarówno to, jak i nowe, poszerzone wydanie, które od kilku lat czeka na wydawcę, przygotowałem dzięki życzliwym konsultacjom profesora Eberharda Haufego.

W ciągu kilkunastu lat totalitarne państwo, jakim była Niemiecka Republika Demokratyczna, zwykle w dramatycznych okolicznościach opuściło wielu wybitnych pisarzy, jak między innymi Peter Huchel, Sarah Kirsch, Wolf Biermann, Reiner Kunze, Bernd Jentzsch, Günter Kunert. Natomiast w NRD pozostali Heinz Czechowski, Karl Mickel, Wulf Kirsten, Volker Braun.

lebten, unter ihnen allen die Judenheit. Eine lange Geschichte“. Und vier Jahre später, im Mai 1965 fügte er in einem Gespräch mit Irma Reblitz hinzu: „Dieser erste Anlaß, die Landschaft zu schildern, hat sich durch die Kriegs- und Nachkriegserlebnisse dahin erweitert, daß ich nun Landschaft und Menschen schildern wollte, um meinen deutschen Landsleuten etwas zu erzählen, was sie nicht wissen“, und setzte fort, „ich meine, daß mein Leben nicht einmal dazu ausreichend wird, das alles zu erzählen, was noch da zu sagen ist“. Eine pessimistische Einwendung und eine hoffnungsvolle Absicht, der jedoch das Ableben des Dichters am 2. September 1965 ein Ende bereitete.

Johannes Bobrowski blieb in seinem Werk das Gewissen vieler Deutscher und er konnte nicht ahnen, daß Karl Dedecius, Klaus Stemmler, Henryk Bereska und eine ganze Reihe Übersetzer künftig die deutsch-polnische Brücke ausbauen und festigen würden. Später schlossen sich da auch einige Schriftsteller an wie z.B. Michael Zeller und Tina Strohecker.

Johannes Bobrowski faszinierte mich vor allem als Dichter. Rätselhaft und unheimlich wirkte auf mich sein Gedicht *Kolnoer Tanz*, das ich noch vor seiner Veröffentlichung bekam. Im Juni 1965, noch bevor es im Original erschien, wurde dieses Gedicht in Grünberg in meiner Übersetzung gedruckt. Nach der Lektüre des Buches *Beschreibung eines Zimmers* (1971) von Gerhard Wolf ist es mir gelungen mit Bernd Jentzsch am 22. März 1975 das Zimmer in der Ahornallee 26 zu besichtigen. Der einstige Bewohner dieses Zimmers fand seine letzte Ruhestätte unweit von seinem Haus. „Zu früh ins Grab /, rief Gott Dich ab /, doch ist kein Bleiben hier /, wir folgen Dir“ könnte man wiederholen. Ich habe ihm ein Gedicht gewidmet, und 1976 erschien in meiner Übersetzung eine Auswahl seiner beeindruckenden Gedichten. Sowohl diese, als auch eine erweiterte Auswahl, die seit Jahren keinen Verleger findet, konnte ich mit Professor Eberhard Haufe Erläuterungen vorbereiten.

In einem langwierigen Prozess schieden aus der DDR aus: Peter Huchel, Sarah Kirsch,

W jednym z wierszy, zawartych w książce Czechowskiego wydanej na Zachodzie przez wydawnictwo Rowohlt w Reinbeku w 1987 roku pod tytułem *Ich und die Folgen (Ja i następstwa)*, czytamy:

*O kraju, o kraju Lessinga,
W którym zebrano się tyle smutku.
Narodzie polujących i tych na których polują,
Zapadasz już w historię.*

Wreszcie pękają granice totalitarnego państwa i pada Mur Berliński w dniu, w którym Tadeusz Mazowiecki z Helmutem Kohlem wymienili uścisk, chociaż kanclerz w widomy sposób był myślami nie w Krzyżowej, a w znów połączonym Berlinie.

2.

W sierpniu 1980 roku powstaje w Polsce „Solidarność”, szeroki ruch społeczny, który obudził nadzieje na godne życie, jednak ponurą nocą 13 grudnia 1981 roku reżim postanowił siłą i represjami zniweczyć marzenia, co wywołało zdecydowany i niemal powszechny opór.

Pozostawiam wszakże opis tych wydarzeń kompetentnym historykom.

Reiner Kunze marzył w 1966 roku o stworzeniu międzynarodowej grupy poetyckiej „Kleine Schar”, natomiast nam dane jest „tu i teraz” powitanie naszej grupy poznańsko-stuttgarckiej, którą powoli i z nadzieją tworzymy począwszy od 1990 roku.

25 lipca 1990 roku nadszedł do mnie list od Johanna Poethena, w którym pisarz, poznany sześć lat wcześniej, wyrażał zgodę na mój pomysł i pisał: „W naszym Stowarzyszeniu Pisarzy «Stuttgarter Schriftstellerhaus» jesteśmy w zasadzie gotowi do nawiązania współpracy z Panem i Pana Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich”. I w *post scriptum*: „Czy wkrótce się zobaczymy?”.

Rok później, kiedy w Polsce wszystkiego brakowało, ale już nie wolności, odwiedziły nas dwie panie: Irmela Brender, tłumaczka literatury angielskiej, i Uta-Maria Heim, poetka. Z tego pobytu musiały odnieść pozytywne wrażenia, ponieważ 15 maja 1991 roku otrzymaliśmy egzemplarz *Porozumienia pomiędzy sto-*

Wolf Biermann, Reiner Kunze, Bernd Jentzsch, Günter Kunert. Zu den namhaftesten Lyrikern, die dort geblieben sind gehörten: Heinz Czechowski, Karl Mickel, Wulf Kirsten, Volker Braun.

In einem der Gedichte von Heinz Czechowski (aus dem Band *Ich und die Folgen*), lesen wir:

*O Land, o Lessing Land,
In dem sich so viel Traurigkeit versammelt.
Ein Volk von Jägern und Gejagten
Beginnt, in die Geschichte einzugehen.*

Kurz darauf zerbrachen die Grenzen des Regimestaates und fiel die Berliner Mauer, so daß Bundeskanzler Helmut Kohl an diesem Tag zwar den polnischen Premierminister Tadeusz Mazowiecki bei der Begegnung in Krzeszowa (Kreisau) umarmte, jedoch mit seinen Gedanken an diesem historischen Tag im wiedervereinten Berlin war.

2.

Im August 1980 begann in Polen die Freiheitsbewegung der „Solidarność”, die die Hoffnung auf ein würdevolles Leben weckte. Jedoch in der Nacht vom 13/14. Dezember 1981 zersplitterten Panzerwagen diesen Traum und die Zeit der Militärmacht mit dem Ausnahmezustand begann mit seinen unverhofften Folgen. Dieses Regime entfachte jedoch einen heftigen Widerstand. Der bisherige Schriftstellerverband zerbrach in zwei gegenseitig stehende Organisationen und dieser Zustand ist bis heute geblieben.

Im Jahre 1966 träumte Reiner Kunze von der „Kleinen Schar” und heute können wir unsere „Stuttgarter Posener-Schar” hier vor Ort begrüßen, die wir langsam aber stetig, seit 1990, mit Freude und Hoffnung aufgebaut haben.

Am 25. Juli 1990 erhielt ich für dieses Vorhaben die Zustimmung von Johannes Poethen, dem ich 1984 begegnet bin: „Wir vom Stuttgarter Schriftstellerhaus sind grundsätzlich bereit zur Zusammenarbeit mit Ihnen und Ihrem Verband”. Im P.S.: „Sehen wir uns bald einmal”.

warzyszeniami pisarzy w Stuttgartu i Poznaniu. W następnym roku przybył do nas Peter Schlack, pisarz tworzący w dialekcie szwabskim, i poetka Carmen Kotarski. Natomiast z pierwszą wizytą do Stuttgartu udał się wraz ze mną ówczesny prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Poznaniu, Jerzy Korczak. Od tamtego czasu pozostajemy w stałym kontakcie, a koleżeńskie stosunki przera-
adzają się także w przyjaźnie. Siedemnaścioro naszych członków znajdowało się dotąd pod miłą opieką niez mordowanej i zawsze radosnej pani Usch Pfaffinger. Jej, Johannesowi Poethenowi oraz kolegom i przyjaciółom należy się nasze serdeczne podziękowanie. Także Jochen Kelter, obecny prezes Stowarzyszenia „Stuttgarter Schriftstellerhaus”, potwierdził aktualność i przyszłość naszych kontaktów.

Johannes Poethen, poeta, myśliciel i mistrz, odwiedził Poznań dwa razy, w latach 1993 i 1995. Pragnął również być z nami na promocji swojej książki w roku 2000, lecz zawiódł go organizm. W poetyckim cyklu *Hermes kam bis Poznań* (*Hermes przybył do Poznania*) pozostawił po sobie literacki ślad, który żyje mimo odejścia autora.

Wrażenia przyjaciół z Badenii-Wirtembergii odczytujemy z utworów, i tak Johannes Poethen konkluduje:

*dlatego moi przyjaciele
w bezbronnej mojej nagości
oznajmiam wam w podzięce*

*iż oto hermes
przybył do poznania.*

(Hermes przybył do Poznania)

Natomiast Helmut Pfisterer, odkrywca pokładów piasku na Starym Mieście w Poznaniu, napisze:

*Odkąd u Was byłem
pozdrawiam wiatr ze wschodu*

(Poznań, maj 1995, z trójką przyjaciół)

Przepraszaliśmy poetę za „długi marsz” od kolebki Polan na Lednicy do stacji w Lednogórze.

Imre Török, będąc w tymże miejscu, sięgnął do źródła dziejów: „*Großpolen* można przyrównać

Ein Jahr später, als es in Polen an allem mangelte, jedoch nicht mehr an Freiheit, besuchte uns Irmela Brender und Uta-Maria Heim. Diese beide Damen mußten von uns mit positiven Erfahrungen heimgekommen sein, denn am 15. Mai 1991 erhielten wir von Johannes Poethen die *Vereinbarung zwischen den Schriftstellervereinen in Stuttgart und Posen*. Ein Jahr danach besuchte uns Peter Schlack und Carmen Kotarski, und zum Gegenbesuch begaben sich nach Stuttgart der damalige Vorsitzende des Schriftstellervereins in Posen, Jerzy Korczak, und der Endunterzeichnete. Seit dieser Zeit stehen wir in ständiger Verbindung, die Bande der Bekanntschaften wandelten sich zu persönlichen Freundschaften. Siebzehn Kollegen bzw. Kolleginnen von uns fanden eine liebenswerte Betreuung, die ihnen die unermüdliche und stets strahlende Usch Pfaffinger bescherte. Ihr, dem Johannes Poethen und den Freunden und Kollegen gilt unser bester herzlichster Dank. Jochen Kelter, der jetzige Vorsitzende des Stuttgarter Schriftstellerhauses, bekräftigte die Fortdauer unserer Kontakte.

Der Dichter, Denker und Meister Johannes Poethen besuchte Posen zweimal (1993, 1995). Er wollte unter uns auch seine Buchpremiere im Jahre 2000 feiern, aber sein Körper verbot ihm diese Reise. In seinem Zyklus *Hermes kam bis Poznań*, hinterließ er eine Spur, welche nach seinem Ableben weiterhin ihre Wirkung ausstrahlt.

Eindrücke unserer BadenWürttemberger Freunde erfahren wir, wenn sie diese schildern:

*nackt
ihr Freunde
vor dankbarkeit
sag ich euch*

hermes kam bis poznań

(Johannes Poethen, Hermes kam bis Poznań)

Und Helmut Pfisterer, Entdecker des Sandes in der Posener Altstadt, schrieb folgendes:

do słowa *Großmutter*, pramatka, a zatem Wielkopolska to nic innego jak Prapolska. Dawne państwo, bogata ziemia, bogata w dzieje. Łany i bory dawnych Piastów, ziemia księcia Mieszka” (*Pobyt na wyspie*).

Dzieje Polski pobrzmiewają także u Christoph Lippelta: „Gaj dębowy w Rogalinie. To tutaj drzewa giganty dźwigają w ramionach / wykrwawione stulecia” (*Nieskończone przestrzenie*, tłum. Lilianna Nowak).

Reinhard Gröper, który w środę 12 września 2001 roku gościł ze mną w mieście swego urodzenia, Bolesławcu, zapisał w dzienniku: „Wieczorem w Klubie «Pegaz», dwieście krzesel, wszystkie zajęte, przeważnie przez młodych ludzi, bardzo wielu uczniów. Tomasz wygłasza wprowadzenie do wieczoru, Eugeniusz prosi o minutę ciszy, wszyscy podnoszą się z miejsc. Czytam początek (autobiograficznego) tekstu o Bolesławcu. (...) W pokoju (...) do późnej nocy wysłuchuję relacji i komentarzy z Nowego Jorku. Wciąż powtarza się widok pasażerskiego samolotu godzącego w wieżę World Trade Center” (*Traumvermesser, Mierniczy snów*, Axel Dielmann Verlag, Frankfurt/M. 2002).

W głębokim wzruszeniu pochyliliśmy głowy. Odżyły wspomnienia z czasu wojny.

Również i nasi koledzy zapisywali twórczo stuttgarckie wrażenia (Jerzy Grupiński, Sergiusz Sterna-Wachowiak, Teresa Tomsia, Arkadiusz Pacholski, Eugeniusz Wachowiak, Tadeusz Żukowski). Przed pięcioma laty, w 1998 roku, przebywałem w Stuttgarcie ze Stanisławem Neumertem i Tadeuszem Żukowskim. Podczas podróży statkiem na Neckarze do Marbach, Johannes Poethen cyzelował moje przekłady wierszy Staszka Neumerta, które potem ukazały się na łamach „Exempli”. Tadeusz Żukowski rozpamiętywał nie tylko krajobraz, wyobraźnia poety przybliżyła mu to, co w zasięgu wzroku i to, co odległe w zasięgu refleksji i po pewnym czasie otrzymałem od niego cykl wierszy, zatytułowany *Podróż do Niemiec*, który stanowi niezwykle cenne, skłaniające do przemyśleń rozważanie poety (przedstawiciela generacji poetów urodzonych w latach pięćdziesiątych) o naszym zachodnim sąsiedztwie. Dzięki Imre Törökowi *Deutschlandreise (Podróż do Niemiec)* w przekładzie Wolfganga Jöhlinga znalazła się w an-

*Seit ich bei Euch war
grüß ich den Wind aus dem Osten*

(Poznań Mai 1995, mit den drei Freunden)

Er durchlitt den „langen Marsch” von der Wiege Polens auf dem Lednica See bis zu der Bahnstation Lednogóra.

Imre Török verwies an dieser Stelle auf die Quelle der Geschichte Polens: „*Großpolen* sozusagen, so zu verstehen: *Groß-Vater Polens*. Großpolen altes Reich, reiches Land, reich an Geschichte, Felder und Wälder der alten Piasten, das Land des Fürsten Mieszko” (*Besuch auf einer Insel*).

Polens Geschichte ertönte auch bei Christoph Lippelt: „Der Eichenhain von Rogalin. Wo Baumgiganten ausgeblutete / Jahrhunderte in ihren Armen halten” (*Grenzenlose Räume*).

Am Mittwoch, den 12. September 2001, als Reinhard Gröper mit mir in seinem Geburtsort Bunzlau/Bolesławiec weilte, trug er in sein Tagebuch folgende Worte ein: „Abends Klub «Pegaz», die zweihundert Stühle alle besetzt, vorwiegend junge Leute, sehr viele Schüler. Tomasz begann die Veranstaltung, ein Vorschlag von Eugeniusz, mit einer Gedenkminute zu der man sich erhob. Ich las den Anfang des (autobiographischen) Bunzlau-Textes. (...) Im Zimmer (...) bis tief in die Nacht die Berichte und Kommentare aus New York verfolgt. Immer wieder im Bild wie die Passagiermaschine die Türme des World Trade Centers anfliegt” (*Traumvermesser*).

Wir senkten dabei die Köpfe, beide tief erschüttert. Kriegserinnerungen erwachten in uns.

Auch unsere Kollegen und Kolleginnen, schilderten ihre Stuttgarter Erinnerungen (Jerzy Grupiński, Arkadiusz Pacholski, Sergiusz Sterna-Wachowiak, Teresa Tomsia, Eugeniusz Wachowiak, Tadeusz Żukowski). Vor fünf Jahren (1998) war ich mit Stanisław Neumert und Tadeusz Żukowski in Stuttgart, ich als Betreuer und Dolmetscher der beiden. Neumerts Gedichte wurden während der Flußfahrt nach Marbach von Johannes Poethen bearbeitet, und sie wurden dann in

tologii poezji *Ulmer Autoren (Autorzy z Ulm)*, wydanej w Ulm w roku 2001 przez Gerhard Hess-Verlag.

Dzięki finansowemu wsparciu Ministerstwa Nauki, Prac Badawczych i Sztuki Badenii Wirtembergii, które w części pokryło koszty publikacji, w oficynie wydawniczej Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Poznaniu ukazał się wybór wierszy Johannes Poethena *Ryba na białym papierze* (1994) oraz siedem greckich esejsów tego autora w tomie *Oddech bogów* (2002), obie książki w przekładach Eugeniusza Wachowiaka, poprzedzone esejami wprowadzającymi Sergiusza Sternę Wachowiaka, natomiast ostatnio, także w poznańskim SPP, ukazał się dwujęzyczny wybór poezji Christoph Lippelta *Nieskończone przestrzenie. Grenzenlose Räume* (Poznań 2003) w przekładzie Lilianny Nowak, z posłowiem Sergiusza Sternę-Wachowiaka, z reprodukcjami malarstwa Ulricha Zeh. Z kolei prace naszego przyjaciela Petera Schlacka ilustrują tom poezji Sergiusza Sternę-Wachowiaka *Papierowy lam-pion* (Poznań 2000).

Około sto trzydzieści wierszy i fragmentów prozy pisarzy skupionych w Stowarzyszeniu „Stuttgarter Schriftstellerhaus” znalazło się w polskich czasopismach, szczególnie w „Gazecie Malarzy i Poetów”, współredagowanej przez pisarzy Ryszarda K. Przybylskiego i Sergiusza Sternę-Wachowiaka wraz z krytykiem sztuki Wojciechem Makowieckim. W Poznaniu zrodził się także pomysł i tu przygotowano *Pasaż stuttgarcki*, zawierający cały blok utworów, który zamieścił „Tygiel Kultury” (Łódź 2000, nr 1-3). Wielkopolscy autorzy zostali zaprezentowani w antologiach *Stuttgarter Schriftsteller Almanach* w tomach trzecim w roku 1993 i czwartym w 1996 r. W roku 1999 w oficynie wydawniczej Ulricha Keichera w Warmbronn ukazało się bibliofilskie wydanie tomu zatytułowanego *Drei Gedichte (Trzy wiersze)* mojego autorstwa.

3.

Tak oto wiodło się dotąd naszej wspólnocie poznańsko-stuttgarckiej i oby tak dalej. Wciąż pojawiają się młodzi, dlatego mimo upływu czasu jawi się wraz z nimi i na przyszłość dalsza współpraca. Nasz przyjaciel Rainer Wochele

der „Exempla” gedruckt. Żukowski konzentrierte sich in seinem Sinnen nicht nur auf diese Schifffreise, denn nach gewisser Zeit bekam ich von ihm den Zyklus *Podróż do Niemiec (Deutschlandreise)*, Erwägungen eines polnischen Dichters seiner Generation (1955) über Deutschland. Außerdem veröffentlichte Sergiusz Sterna-Wachowiak Essays über Johannes Poethen Werk und über Christoph Lippelt Lyrik. Jerzy Grupiński schildert seine Stuttgarter Erfahrungen in dem Aufsatz „Wo Gedichte S-Bahn fahren“, und Teresa Tomsia widmete einige ihrer Gedichte den Stuttgarter Freunden.

Mit finanziellen Mitteln des Ministeriums für Wissenschaft, Forschung und Kunst Baden-Württemberg, die einen Anteil der Druckkosten beglichen, hatten wir im Posener Schriftstellerverein eine Auswahl von Johannes Poethen Gedichten und ein Buch mit seinen griechischen Essays getroffen, und jüngstens den zweisprachigen Lyrikband von Christoph Lippelt. Dieses Buch zeigt auch Bildern des Stuttgarter Malers Ulrich Zeh. Auch unser Freund Peter Schlack illustrierte den Lyrikband von Sergiusz Sterna-Wachowiak. Etwa einhundert Gedichte und Prosafragmente der mit dem „Häusle“ verbundenen Autoren wurden im *Stuttgarter Schriftsteller Almanach* Nr 3 (1993) und Nr 4 (1996), präsentiert. Posener Gedichte werden auch für den Almanach der in diesem Jahr erscheinen soll geplant. Im Jahre 1999 erschienen *Drei Gedichte* von Eugeniusz Wachowiak im Verlag Ulrich Keicher in Warmbronn.

3.

So ging es bislang der „Kleinen Schar”, und es möge so weitergehen. Junge Lyriker wachsen immer nach, und mit ihnen, trotz der vergehenden Zeit, die Hoffnung. Unser Freund Rainer Wochele, der zu Poethens 70. Geburtstag das Geburtstagkind anhand dessen Verse über das Tännlein lobte, das er, Poethen, unter den Regenschirm nehmen möchte, weil es regnete, und Wochele schilderte „wen” und „was alles” Johannes Poethen unter seinen

z okazji siedemdziesięciolecia urodzin Johannesa Poethena wygłosił poemat na cześć jubilata, przytaczając na wstępie fragment jego wiersza o „choince, którą ten pragnie wziąć pod parasol, bo pada”, i dalej już swoim piórem opowiadając „kogo” i „co wszystko” brał Poethen pod parasol, a więc nie tylko to, co znajdowało się w pobliżu, ale także nas, w odległym Poznaniu. U Wochele brzmi to tak:

*i dla naszych przyjaciół z Poznania
jest on od dawna parasolem
słonecznej pogody.*

Odczuwamy brak naszego drogiego przyjaciela Johannesa Poethena, brak jego przenikliwego umysłu i jego gorącego serca. Pozostał nam jednak jego „parasol” i Ty, drogi Rainerze, ująłeś go w swoje ręce, aby w dalszym ciągu trzymać nad nami ów „parasol słonecznej pogody”. Ściskamy w podziękę mocno Twoją dłoń, ściskamy serdecznie naszych przyjaciół ze Stowarzyszenia Pisarzy „Stuttgarter Schriftstellerhaus”, którzy odwiedzili nas z okazji jubileuszu naszej współpracy.

Zadanie, jakie postawił przed sobą Johannes Bobrowski, teraz wypełniacie zarówno wy, jak i my, i będziemy opowiadać, wy swoim, a my naszym rodakom to, czego oni nie wiedzą, a tym samym „kto, jeśli nie my, będzie stawiać filary mostu ze słów”, do czego wzywa nas Rainer Wochele. Wezwanie to podejmujemy dla przyszłości. Dziękuję Wam.

Szkic *Przenosić światło, przynosić nadzieję* został wygłoszony 26 kwietnia 2003 roku w Poznaniu podczas sympozjum *Literatura jako pomost. Literatur als Brücke*, zwołanym z okazji jubileuszu dziesięciolecia współpracy pomiędzy Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich w Poznaniu i Stowarzyszeniem Stuttgarter Schriftstellerhaus w Stuttgarcie.

„Schirm” genommen hat, also nicht nur, was sich in seiner Nähe befand, sondern auch uns im entfernten Poznań. Bei Wochele hieß es da:

*für die Freunde aus Poznań etwa,
ist solchermaßen aufgezogene Regenhaut
längst zum hellen heiteren Sonnenschirm
geworden.*

Unseren lieben Freund Johannes Poethen vermissen wir, seinen scharfen Sinn und sein heißes Herz. Es blieb jedoch sein Schirm zurück und du, lieber Rainer hast ihn in die Hand genommen, um den Sonnenschirm über uns aufzuspannen. Unser starker Händedruck dafür! Ein herzlicher Händedruck ebenso allen Freunden vom Stuttgarter Schriftstellerhaus, die uns anlässlich des Jubiläums in unserer Stadt besuchten.

Johannes Bobrowski Vermächtnis wird von uns weitergetragen, sowohl ihr, als auch wir, erzählen unseren Landsleuten, was sie nicht wissen, und „wer, wenn nicht wir, sollte Brückenpfeiler aus Sätzen errichten”, ruft uns Rainer Wochele auf, und diesem Aufruf folgen wir, in die Zukunft hinein.

Der Vortrag wurde während des literarisch-wissenschaftlichen Symposiums *Literatur als Brücke. Poznań-Stuttgart-Passage*, anlässlich der zehnjährigen Zusammenarbeit zwischen dem Stowarzyszenie Pisarzy Polskich (Polnischer Schriftstellerverein) und dem Stuttgarter Schriftstellerhaus e.V. am 26 April 2003 gehalten.

Übersetzt von Eugeniusz Wachowiak

Polemik

Brief an Herrn Sławomir Kufel

Rainer Vangermain

Lieber Herr Sławomir Kufel!

Einmal habe ich davon gesprochen, Ihren Artikel „Ubi Troia?“, im Pro Librisheft 02/05 gelesen zu haben und ihn interessant und bemerkenswert gefunden zu haben. Das war eher eine private Meinung und ob sie einem journalistischen Meinungs-austausch mit Ihnen standhält weiß ich nicht genau. Ich war unsicher, weil ihr Artikel auch polnische Innenpolitik berührte und wenn man unsicher ist in der Beurteilung soll man sich zurückhalten. Ich werde aber doch versuchen meinen Eindruck aufzuschreiben, sozusagen als Beleg meines Interesses am deutsch-polnischen Gedankenaustausch. Leider ist etwas Zeit, seit dem Erscheinen des Artikels ins Land gegangen, aber sein Inhalt ist ja von anhaltender Bedeutung. Was kann man als Deutscher dazu sagen?

Wir alle wissen dass wir nicht aus der Geschichte austreten können. Wir müssen sie aushalten, wir müssen Verantwortung übernehmen, oder sie ablehnen, wir können gestalten, was geformt werden will. Was läßt sich schon erzwingen? Man kann Vorschläge machen. Die geschichtliche Zeit ist eine andere, als die der Tagespolitik und ihrer Protagonisten. Gefordertes Tempo und Schnelligkeit der Entwicklung eines Landes relativieren sich im geschichtlichen Gang der Ereignisse.

Sechzigjährige Geschichte des neueren westpolnischen Staatsgebietes, was ist das schon, könnte man fragen. Dafür ist allein der polnische Staat verantwortlich. Das diese Gebiete mehr polnische Identität ausstrahlen, ist zuerst allein Sache der Polen selbst. Die Geschichte läßt sich nicht überlisten. Sechshundert Jahre deutsche Kulturgeschichte

Polemika

List do Pana Sławomira Kufła

Rainer Vangermain

Drogi Panie Sławomirze Kufel!

Z zainteresowaniem i uwagą przeczytałem Pański artykuł „Ubi Troia?” w numerze 2/2005 Pro Libris. Chociaż od jego publikacji upłynęło sporo czasu, chciałbym podjąć próbę dziennikarskiego odniesienia do zawartych tam treści. Nie mam jednak pewności, czy jako Niemiec zdołam to uczynić. Nie chciałbym pochopnie osądzać polskiej polityki wewnętrznej, której dotyczy Pański artykuł. Proszę jednakże potraktować mój głos, jako wkład w polsko-niemiecką dyskusję na ten temat.

Wszyscy wiedzą, że my (*Niemcy – dot. tłumacza*) nie potrafimy pozbyć się balastu przeszłości. Trwając, musimy wziąć na siebie pewną odpowiedzialność lub ją odrzucić. Możemy jednakże zmieniać kształt tego, co da się zmienić. Ale czy można coś wymusić? Dokonując tych zmian pamiętajmy, że historia to przeszłość, którą należy oddzielić od dzisiejszej polityki i jej protagonistów.

Wymagane tempo i prędkość rozwoju kraju relatywizują się w historycznym biegu wypadków. Można by zapytać co składa się na te sześćdziesiąt lat historii nowych polskich ziem zachodnich. Odpowiedzialność za to spada już tylko na państwo polskie; sprawa polskiej tożsamości jest sprawą samych Polaków. Czasu nie da się przechytryć. Sześciuset lat historii niemieckiej kultury tych ziem nie da się włączyć w historię polskiej kultury. Polsko-niemieckie rany, zadane wskutek II wojny światowej, potrzebują na zabliznienie dłuższego czasu, niż życie autora tego artykułu. Możemy sobie wyobrazić inną, idealną sytuację, ale bądźmy realistami.

Od czasu upadku komunizmu w Europie narody Europy Wschodniej, łącznie z daw-

Rainer Vangermain

wollen in polnische Kulturgeschichte integriert werden. Die deutsch-polnischen Wunden, geschlagen und vertieft durch die Ergebnisse des 2. Weltkrieges werden zur ihrer Heilung länger brauchen, als der Autor dieses Artikel lebt. Träumen wir ruhig, aber seien wir auch realistisch.

Seit der europäische Kommunismus zusammengebrochen ist und die Völker Osteuropas, einschließlich der ehemaligen DDR, sich in das neue, alte Europa unter kapitalistisch-bürgerlichen Vorzeichen integrieren wollen gibt es nicht nur Wünsche und Hoffnungen was die Entwicklung der Länder des ehemaligen Ostblocks betrifft, sondern auch jedemenge Illusionen, Verführungen und Täuschungen. Immerhin gab es in der Folge dieser Entwicklung in Europa auf dem Balkan einen handfesten, mörderischen Krieg und Völkermord. Das ist hoffentlich in den Beziehungen zwischen Deutschen und Polen kein Thema mehr. Der Nationalstaat scheint auf dem Rückzug, zugunsten des europäischen Einigungsprozesses, aber die neueren westpolnischen Gebiete sollen mehr polnische Identität ausprägen, angesichts einer überall zu bemerkenden Sehnsucht nach Westen nach Westeuropa. Können sie das überhaupt noch im hergebrachten Sinne, wenn Europäisierung und Euroregion auf der Tagesordnung stehen? Was hat das für Folgen, wenn sich die Bevölkerung der westpolnischen Gebiete mehr nach Berlin und die angrenzenden Bundesländer orientiert, als nach Warschau und Zentralpolen. Ich weiß es nicht. Der Satz von Gotthold Ephraim Lessing, „... bleibe im Lande und nähre dich redlich ...“ gilt auch in Brandenburg, aus unterschiedlichen Gründen, nicht mehr viel. Die Region entvölkert sich, auch in Richtung Westen.

Man könnte kühn prognostizieren, wenn wir uns nur lange genug nach Westen orientieren, oder nach Westen gehen, werden wir endlich, nach langer Zeit wieder zu Hause ankommen, denn die Erde ist rund.

Zum Europäisierungsprozeß kommt die Globalisierung aller Strukturen dazu, Menschen und Kapital jagen rund um die Welt. Wie kann man da einer Region noch

nym NRD, pragną integracji ze starą nową Europą pod kapitalistyczno-obywatelskimi hasłami. Na proces ten składają się nie tylko życzenia i nadzieje rozwoju krajów dawniejszego bloku wschodniego, lecz także mrzonki i obietnki. Nie zapominajmy, że cieniem na tych przeobrażeniach kładzie się również okrutna wojna na Bałkanach. W mojej opinii w historii stosunków polsko-niemieckich taki scenariusz nie byłby na szczęście możliwy.

Państwowość narodowa wydaje się zanikać, co jest korzystne dla europejskiego procesu zjednoczeniowego. Mimo zauważalnej nostalgii za zachodem i zachodnią Europą, polskie ziemie zachodnie winny jednak bardziej podkreślać swoją polską tożsamość. Czy jest to w ogóle jeszcze istotne, jeśli europeizacja i euroregiony są na porządku dziennym? Jakie to będzie miało skutki, jeśli ludność polskich ziem zachodnich będzie bardziej zorientowana na Berlin i przygraniczne landy, niż na Warszawę i Polskę centralną? Nie wiem.

Myśl Gottholda Ephraima Lessinga „... bleibe im Lande und nähre dich redlich”¹ – z różnych względów – straciła na aktualności także w Brandenburgii. Region ten bowiem również wyludnia się w kierunku zachodnim. Jednak można odważnie prognozować: jeśli odpowiednio długo będziemy iść na zachód, to z uwagi na kulistość ziemi i tak wrócimy do punktu wyjścia.

Do procesu europeizacji dołącza globalizacja wszystkich struktur. Ludzie i kapitał krążą po całym świecie. Czy w ogóle można mówić jeszcze o specyfice regionu, skoro dany region takowej w przeszłości nigdy nie posiadał? Regionalna tożsamość - skutkiem europeizacji i globalizacji - może stracić na znaczeniu. I być może stanie się ona dla mieszkańców regionu sprawą drugorzędną, a w najlepszym przypadku jedną z wielu. Rozpoczął się bowiem pewien proces, którego wszystkich parametrów nie znamy, a jest za wcześnie, aby już teraz przewidywać jego rezultaty. Tak sobie o tym myślę, gdy jako Niemiec przekraczam Odrę.

¹ W wolnym przekładzie na język polski „... pozostaj w kraju i używaj do woli” (przypis autorki tłumaczenia).

eine spezifische Prägung geben, wenn sie sie nicht schon seit jeher hatte.

Europäisierung und Globalisierung können auch Nachteile haben, sie können Ausprägung regionaler Identitäten bedeutungslos machen. Vielleicht ist es für die Bewohner Westpolens inzwischen zweitrangig eine eindeutige Identität auszuprägen, es wird Mischidentitäten geben, im besten Fall. Oder es werden Identitäten ausgeprägt, die jetzt noch gar nicht zu erkennen sind. Ein Prozeß hat eingesetzt bei dem wir noch gar nicht alle Faktoren kennen und die zu erwartenden Ergebnisse nicht einschätzen können. Das denke ich manchmal als Deutscher, wenn ich über die Oder fahre. In den neunziger Jahren fuhr ich einmal nach Poznan, weil ich die Stadt von früher kannte und schätzte und hoffte so viel polnische Identität wie möglich anzutreffen und aufzusaugen. Doch wie enttäuscht war ich überall nur den westlichen Warenauber und wenig polnische Identität anzutreffen. Es war auch deutlich mehr Armut im Stadtbild zusehen als früher, vielleicht auch mehr Reichtum. Das Gefälle war einfach sehr groß geworden. Immerwieder die Flyer, die ins Bordell einladen, auch das war neu. Am Bahnhof zeigte die Mafia Präsenz, wie in Palermo und sah auch so aus. Ich dachte im ersten Moment nicht, das ich in Polen bin. Es ist auch ein paar Jahre her und ein einzelner Eindruck und führt in diesem Zusammenhang eigentlich zu weit.

Sind Deutsche und Polen aneinander interessiert? Man kann diese Frage nicht für sein jeweiliges Volk beantworten. Interessiert aneinander werden immer nur Einzelne, oder spezifische Gruppen sein, deren konkretes Interesse sie dazu treibt. Eine Frau und ein Mann, Künstlergruppen, Wirtschaftsbosse, Unternehmer, Arbeitnehmer, Kirchen. In all diesen Bereichen sind Deutsche an Polen interessiert und umgekehrt. Dieses Interesse wird mal stärker und mal weniger sein, man kann es befördern, oder es sein lassen, wie es gerade ist. Wir werden unsere beiden Völker nicht vereinigen und oder auflösen können. Interessiert sein aneinander werden immer nur die „Besten“ und von denen hat jedes Volk

W latach 90. pojechałem do Poznania, który znałem wcześniej. Miałem nadzieję nasycić się tam polską tożsamością, ale się rozczarowałem. Wszędzie napotykałem zachodnie reklamy. Dostrzegłem więcej biedy niż przed laty, ale też chyba i więcej bogactwa. Kontrasty w obrazie miasta stały się bardziej widoczne.

Nowością byli napotykanie „naganiacze” do agencji towarzyskich, na dworcu – tak jak w Palermo – rezydowali przedstawiciele mafii. W pierwszej chwili wydawało mi się, że wcale nie jestem w Polsce. Od tego czasu upłynęło jednak kilka lat i być może dziś nie odniósłbym tego samego wrażenia.

Czy Polacy i Niemcy są dla siebie interesujący?

Na to pytanie nie można odpowiedzieć za cały naród. Zainteresowane sobą będą zawsze pojedyncze osoby, czy grupy o wspólnych zainteresowaniach. Kobieta i mężczyzna, artyści, ludzie interesu, przedsiębiorcy, pracownicy, kościoły. Te grupy ludzi interesują się sobą od dawna. Ich zainteresowanie można wspierać lub pozostawić samemu sobie. Nie jesteśmy w stanie ani zjednoczyć naszych narodów ani też ich rozdzielić. Zainteresowani sobą będą zawsze tylko ci „najlepsi”, których liczba w każdej narodowości jest ograniczona.

A konflikty będą zawsze. Nie chcemy i nie możemy bratać każdego z każdym, jak popadnie. Chcemy ciągle poznawać różnice między nami, respektować je i tolerować. Niemcy i Polacy to dwa różne narody. Mówiąc po chrześcijańsku – różne dzieci tego samego Ojca. Razem możemy zrobić wiele dobrych i pożytecznych rzeczy. W przeszłości stosunki między dwoma sąsiadującymi narodami były związane z różnego rodzaju konfliktami. Obecnie istnieją wszelkie przesłanki ku temu, by kształtować nasze wzajemne relacje z korzyścią dla obu stron. Jednak nie wszystko da się zrobić od razu, to wymaga czasu.

Drogi Panie Sławomirze Kufel, myśli te przysły mi do głowy przed paroma miesiącami, po przeczytaniu Pańskiego artykułu. Przekazuję je Panu i mam nadzieję, że nie zostaną źle zrozumiane.

nur eine begrenzte Anzahl. Und natürlich wird es Konflikte geben, immer. Wir wollen und können uns nicht blindlings verbrüdern. Wir wollen unsere Unterschiede stets und ständig lernen, respektieren und aushalten. Deutsche und Polen sind zwei anthropologische Ausdrucksformen der vielfältigen Spezies Mensch, oder christlich gesprochen, zwei Formen der vielfältigen Schöpfung.

Immer noch, so lehrt uns die Geschichte, waren in den Beziehungen zweier benachbarter Völker die Verhinderung von Konflikten und die Kleinhaltung der Kriminalität, als einer Parallelgesellschaft, Grundaufgaben bei der Gestaltung der Beziehungen, darüber hinaus kann man viele freundliche Sachen tun und anstreben. Nur, man sollte sich davor hüten, dass als banal und längst erledigt anzusehen. Auf allen Gebieten des binationalen Verkehrs gibt es gute Voraussetzungen diese zu gestalten, vielleicht mehr, als jemals zuvor. Nur Euphorie, Totalität und zu vieles auf einmal wollen, sind von Schaden und Täuschen über die Realität hinweg.

So, lieber Sławomir Kufel, diese Gedanken kamen mir beim Lesen Ihres Artikel schon vor ein paar Monaten. Jetzt habe ich sie aufgeschrieben, in der Hoffnung, dass sie nicht allzuvielen Mißverständnisse auslösen.

Ich führe in Frankfurt (Oder) im Deutsch-Polnischen-Literaturbüro einen sehr einsamen Kampf, nach dem die Fördertöpfe leergefüllt sind und sich nicht ohne weiteres wieder füllen lassen.

25.02.2006

Pracuję we Frankfurcie nad Odrą – w Polsko-Niemieckim Biurze Literackim – i prowadzę bardzo osamotnioną walkę o jego przetrwanie. Środków na utrzymanie Biura praktycznie nie ma i szanse na ich otrzymanie są słabe.

25.02.2006

Tłumaczenie Barbara Krzeszewska-Zmyślony

Zamieszczony tekst jest odpowiedzią na esej Sławomira Kufła pt. „Ubi Troia?” opublikowany w numerze 2(11) 2005 Pro Libris.



Przeistoczenie

W popielcową środę
pewnie za dużo
na jego głowę nasypano popiołu

Następnego dnia
jak oznajmiła
rodzina
nieoczekiwanie
sam nie wiedział kiedy
(uchwycić tę chwilę
po jej krawędzi wydostać się
z powrotem)
przemienił się w popiół

Wieczne jego w powietrzu
Unoszenie

Co to jest?

I.
Pewien poeta
powiedział poecie
Poezja to pestka
Czego
Nie wiedział

II.
Jeszcze
tak niedawno
pewien poeta
ale już inny
pisał
wszystko jest poezją
Rozglądam się wokół
Co poeta miał na myśli

Co ja mam na myśli

III.
Pewien poeta
stanowczo
za szybko
zorientował się
że umiera

Więc przestał żyć

Cudka

Zbigniew Kozłowski

Istnieje w świecie taki piękny zwyczaj, że przy rozpoczęciu każdej nowej budowli i kładzeniu kamienia węgielnego, albo pierwszej cegły, uczestniczy w ceremonii główny inicjator przedsięwzięcia. Im bardziej znaczna to osoba, tym dla przedsięwzięcia większy splendor i dziejowa ranga. W naszym kraju, w Polsce, obyczaj obecności przy rozpoczynaniu ważnej budowy wprowadził sam król...

* * *

Właściciel Kargowej, osady przygranicznej z królestwem czeskim i księstwem głogowskim, a jednocześnie jej wójt – Dzierżykraj, patrzył szeroko otwartymi oczami, jakby nie dowierzając, iż coś takiego może dziać się naprawdę. Rzecz była dla skromnego władcy tak niecodzienna i dotąd niespotykana, że chwilami aż potrząsał głową, licząc na rozpadnięcie się w pył i nicłość oglądanego widoku. Ale nie, obraz ukazywany jego oczom trwał, mało tego, postrzegani w nim ludzie poruszali się, rozmawiali i wszystko było całkiem naturalne i żywe. Na pewno więc nie było to przywidzenie ani żaden senny majak. Jakoż i nastąpił fakt, który całkowicie Dzierżykraj otrzeźwił i pozbawił jakichkolwiek wątpliwości. Z gromady nad wykopanym wielkim dołem ludzie odstąpił wysoki człek i podszedł do władcy. To Kochan – Dzierżykraj rozpoznał dworzannina królewskiego. Ów zaś zatrzymał się dwa kroki przed wójtem.

– Dzierżykraj – odezwał się – sam król cię prosi, abys i ty położył jedną z pierwszych cegieł pod budowę tego kościoła. Niech i twoja ręka przyczyni się do jego powstania na chwałę Bożą oraz dobro i szczęście zbąszyńskiej ziemi. Chodź, muratorzy czekają – to rzekłszy Kochan ujął władkę pod ramię i poprowadził ku czekającej grupie.

Dzierżykraj zaskoczony i lekko drżący z przejęcia, dał się wieść bezwiednie. Przelknął ślinę, która zwilżyła jego zaschnięte gardło. Tam przecież wśród tej gromady był sam król, wielki król Kazimierz, u którego boku miał za chwilę stanąć. Poczł nagle gorąco na całym ciełe. Taki zaszczyt dla niego, skromnego wójta, jeszcze moment, a będzie patrzył z bliska w królewskie oblicze. Kazimierz – wielki budowniczy. Ileż on już zamków i twierdz postawił, ile kościołów. nawet tutaj, blisko, w niedawno odzyskanej z rąk Henryka żagańskiego Wschowie, teraz w Kargowej. A ci jak tam, muratorzy, całkiem dla Dzierżykraj nieznany rodzaj rzemieślników, budujących z kamienia i cegły. Kościół w Kargowej, cóż to za wyróżnienie dla niewielkiej przygranicznej osady. Do tego murowany i wcale nie kryty drewnianym gontem. Jedyny taki tutaj, bo nawet dworzyszczce władcy ma dach pokryty zwykłą strzechą. A pierwszą cegłą pod budowę położy sam król, obok niego drugą Dzierżykraj. Co za zaszczyt! Potomni będą o tym po latach wspominać, pisywać w kronikach imię skromnego wójta u boku Kazimierzowego. Może też ktoś wspomni okoliczności, w jakich doszło do budowy tutejszego kościoła. Tu Dzierżykraj aż pokręcił głową. Różnie o tym powiadano, dlaczego król zdecydował się zbudować kościół w Kargowej. Ot, choćby wiodący teraz do niego władkę Kochan. Mąż olbrzymiej postury, zaufany dworzanin o przenikliwym spojrzeniu, wierzący na wylot każdego swoimi czarnymi oczami. To podobno Kochan na polecenie królewskie utopił w Wiśle niejakiego Baryczkę, kanonika czy nawet biskupa. Teraz, w ramach nakazanej przez papieża pokuty, stawiają z Kazimierzem kościoły. Może i ten w Kargowej z tych samych przyczyn? Chociaż chyba nie, mówi się, że król chce go zbudować z powodu jakiejś niewiasty tak wielkiej urody, że aż Cudką zwanej. Na

pamięć po jej zmarłym mężu, kiedyś w pobliżu Kargowej ocalonym. O, ten fakt Dzierżykraj pamięta dokładnie z opowiadań swojego rodzica. Było to kilkanaście lat temu, kiedy to przez Kargową wracało poselstwo polskie z dalekiego Awinionu. Przewodził mu Niemierza z Gałowa, jego właśnie Dzierżykraj zapamiętał, gdyż jako młodzieniaszek jeszcze oglądał w Kargowej własnymi oczami. Poselstwo jeszcze za granicą zostało napadnięte przez czeskich zbójców i uległoby im niechybnie, gdyby nie odsiecz będącego przypadkiem na polowaniu wójtowego ojca z drużyną. Ci pomogli pobić zbójców, a rannego w walce Niemierzę właśnie w Kargowej doprowadził do zdrowia miejscowy zielarz. A porąbaną rękę Niemierzy złożył tak zręcznie, że nawet nie wdała się gangrena. Posłowie po dwóch tygodniach ruszyli dalej, obiecując wspomnieć królowi o dzielnym władcy z Kargowej. Właśnie efektem tego zdarzenia jest stawiany na pamiątkę ocalenia poselstwa i uhonorowania ojca Dzierżykraj kościół. Ale powiada się także, że Kazimierz zapalał grzeszną miłością do żony Niemierzy, owej Cudki właśnie i żył z nią potem jak z kochanicą, płodząc nawet dzieci. Co tu było prawdą, jakie powody kierowały władcą, tego Dzierżykraj nawet nie usiłował dociekać, nie jego to rzecz, on cieszył się tylko ze splendoru, jaki mu król okazał.

* * *

Spośród dworzan, muratorów i innych oficjeli Kazimierz wyróżniał się dorodną postawą. Wysokiego wzrostu, męskiej budowy, o pięknej twarzy okolonej kędzierzawym zarostem, już z natury zdawał się przewodzić pozostałym. Właśnie położył pierwszą cegłę, którą stojący obok mistrz cechowy szybko okolił rozrobionym wapnem. Król cofnął się o krok, ustępując z uśmiechem miejsca Dzierżykrajowi. Patrzył, jak wójt kładzie następną cegłę, potem Kochan, później jeszcze drudzy, od najbardziej znacznych poczynając. Kazimierz zamyślił się. Czy którakolwiek z będących tu osób domyśla się prawdziwego powodu decyzji o budowie kościoła w Kargowej? Zapewne nie, przyczyny były tak osobiste, intymne wręcz, że król chował je w najgłębszym zakątku serca. To Cudka, tylko on o tym wiedział, Cudka, a właściwie pragnienie jej przeniosło Kazimierza wiatrem pokuty nad samą granicę i kazało tutaj stawiać świątynię. Nie tylko pamięć ocalenia jej niedawno zmarłego męża, lecz przede wszystkim ona sama, boska Cudka, umiłowana płomieniem całego Kazimierzowego jestestwa. To ku niej król tak łgął, to ją pragnął opleść całym sobą. Może Cudka wróci do niego, może to szalone pragnienie ugasi, może...

* * *

Pamiętasz, królu? Była sobie Cudka...

Ujrzał ją po raz pierwszy po odejściu Niemierzy z Gałowa na czele poselstwa do Awinionu, kiedy to ów zostawił przy dworze swoją młodą małżonkę. Kazimierz od niechcenia rzucił okiem na niewiastę, zatrzymało się jego spojrzenie i już nie mógł go od widoku oderwać. Co za zjawisko! Długie, jasne włosy opadały po obu stronach ślicznej twarzyczki, wielkie błękitne oczy promieniały na nią barwą nieba, przepięknie wyrysowane usta wabiły karminową barwą, a bujne piersi i wiotka kibić tak kusily... Nie bacząc na języki dworzan król podszedł do niej i zagadnął. Cudka wyczytała w jego spojrzeniu i słowach wszystko, całą namiętność hamowaną tylko obecnością innych. Na jej policzkach niczym zorze wykwitły wstydlive rumieńce, a oni tak stali patrząc sobie w oczy. Jeszcze tego samego dnia tuż po nastaniu zmierzchu, Kazimierz wszedł do jej komnaty. Nie mówiąc nic, zbliżył się, objął ją, uniósł na rękach i złożył na pościeli. Cudka próbowała się bronić, odpychała, lzy pokryły mgiełką błękit jej oczu, aż w końcu uległa przemożnej sile męskiego pożądania. Nieśmiało objęła Kazimierza ramionami, wtuliła się w niego i oddała. Wszak to król...

* * *

Kazimierz patrzył, jak powoli rośnie zrąb kościoła, jak muratorzy układają kolejne rzędy cegieł na kamiennej podbudowie. Kiedy tak stał z boku, znowu wróciły wspomnienia. Tak, to był najpiękniejszy okres w jego życiu. Najpierw ukradkowe nocne wizyty w komnatce

ukochanej, potem już otwarte wyjazdy do Gałowa, gdzie ona czekała. Padali sobie w ramiona, splatali się tworząc astralną jedność, życie toczyło się gdzieś tam obok, czas dla innych upływał, a oni istnieli poza jego wymiarem. Każdy dotyk i słowo powodowały zapomnienie o świecie, kiedy zaś obowiązki wzywały króla do Krakowa, wypełniał je pełen natchnionej mądrości i wyrachowanego realizmu, bo pamiętał cudowne oderwanie i wytchnienie, bo już czekał następnego...

* * *

Ileż to minęło od ich początku, dwa, może trzy lata. Cudka jest jeszcze piękniejsza, jeszcze bardziej bujna, w jej oczach Kazimierz widzi uwielbienie i oddanie. Och, przy niej czuje się niespożyty, już sam widok rozkosznej postaci przyprawia królewskie ciało o przyjemne dreszcze. Gdybyż tak można było nie odchodzić nawet na krok, ciągle czuć jej obecność przy boku, ciągle patrzeć...

Nie może ożenić się z Cudką, żyje przecież jej mąż, a i Kazimierzowa Adelajda, choć osadzona samotnie w Żarnowcu ani myśli o rozwodzie. Pętla, zaciśnięta pętla, której żadnym sposobem nie można rozsupłać. A tu i dzieci cudowne, bo z Cudki, maleńki Niemierza i osesek jeszcze, Jan Pełka. Niestety, nie mogą zostać uznane za królewskie, zresztą, nawet to nie dałoby im prawa do sukcesji. Jakież ten świat przewrotny, z jednej strony bezpłodna i wstrętna Adelajda, tutaj zaś te dwa rozkoszne brzdące, jego dzieci, a obok nich wspaniała, najukochańsza kobieta. Ot, gdy teraz głaszcze Kazimierza po policzku, jego serce zda się roztopiać i całym ciepłem przechodzi do ust, przez które pocałunkiem zostaje przekazane Cudce. W takiej chwili król czuje się w pełni mężem i ojcem, w chwili kradzonej twardej rzeczywistości, dla której musi powracać. Jeszcze przynajmniej trochę, jeszcze nie dzisiaj, zatrzymajcie się choć na moment i słońce i księżyc... Niech nic się nie porusza, niech wszystko tak trwa... I trwało.

* * *

Kilka lat temu któryś z dziarskich badaczy pozostałości historii średniowiecznej na tej ziemi odkrył w pobliskim Zbąszyniu ślady bytności dwóch dworzan królewskich: Niemierzy i Jana Pełki z Gołczy. Badacz skojarzył ich z synami Kazimierza Wielkiego i Cudki. Czy naprawdę ci dwaj rycerze przebywali w tutejszej ziemi w związku ze sprawą ocalenia swojego rodzica? Czy odwiedzili kościół w Kargowej i czy wiedzieli, jaki jest powód jego zbudowania? Piszący te słowa przypuszcza, że znali swoje prawdziwe pochodzenie, wszak zostali hojnie obdarowani w testamencie Kazimierza. Cóż, wiadomość o ich pobycie tutaj tylko dodaje uroku tajemniczej przeszłości.

* * *

– Przysłał mnie sam biskup Bodzęta – mówił do Cudki wikary Katedry Krakowskiej Marcin Baryczka. – Celowo przyjechałem do ciebie, kasztelanko sieciechowska aż tutaj, do Gałowa. Chcę uświadomić ci, w jakim żyjesz grzechu i o ile można, powstrzymać może w ostatniej chwili przed wiecznym potępieniem. Czyż nie ma w tobie ni krzty bojaźni bożej - wikary uniósł oskarżycielsko palec – kiedy tak bezwstydnie szargasz sakrament małżeński i oddajesz swe ciało i duszę Kazimierzowi? I ty jesteś mężatką i on jest żonaty. Ot, twój mąż leży ciężko chory, umiera prawie, a ty zamiast nim się zająć biegniesz chyłkiem do królewskiej komnaty. Gdzie wstyd, gdzie poszanowanie dla świętego sakramentu? – Baryczka już grzmiał, niczym karzący archanioł. – Wiesz przecież, że nie jesteś pierwszą królewską kochanicą, wspomnij Klarę Zach. Nie tylko ona była przed tobą, były inne, będą także i po tobie, a ty w końcu zostaniesz sama ze swą sromotą i potępieniem.

– To przecież król... – próbowała bronić się Cudka – jam poddanka i winnam mu posłuszeństwo.

– Posłuszeństwo winnaś przede wszystkim Bogu! – wykrzyknął Baryczka. – Nawet król nie ma mocy łamać jego praw.

– Jeżeli król zrezygnuje, to i ja poddam się waszej woli – Cudka pochylała głowę. Za chwilę jednak hardo ją podniosła. – Inaczej nie! – powiedziała zdecydowanie.

Baryczka przez chwilę zastygł w pozie niczym biblijna żona Lota, tak był zaskoczony odpowiedzią. Szybko jednak wrócił do siebie, odezwał się w nim znowu fanatyk. – Dotrę i do króla, sam mu wszystko wygarnę – rzucił jeszcze Cudce. – Ty możesz być uległa majestatowi władcy, ale ja nie jemu podlegam. Napiętnuję go publicznie tak dotkliwie, że się opamięta, albo szczególnie – zakończył Baryczka i gniewnie wyszedł.

Cudka została sama. Z komnaty obok dobiegały ją głosy bawiących się dzieci, przerywane czasem strofowaniem starszej opiekunki, jedynej zresztą, której poza matką musieli słuchać. Kasztelanka wróciła myślami do Kazimierza i do ich wzajemnego związku. Kochała króla, to nie ulegało wątpliwości. Z każdym spotkaniem, a na wszystkie już drżała przedtem w oczekiwaniu, pragnęła Kazimierza coraz bardziej. Tego wielkiego mężczyzny, czasem tak surowego w decyzjach wagi państwowej, a przy niej zmieniającego się w niezaradnego dużego chłopca. Cudka wiedziała, że przy niej król wypoczywał i nabierał sił, że jej spojrzenia, dotyk dają Kazimierzowi tak niezbędne wytchnienie przed kolejnymi wyzwaniem. I to jego pełne miłości spojrzenie, najchętniej położyłby się niczym brytan u stóp ukochanej i wielbił, i nie dopuszczał nikogo innego. Z drugiej strony Cudka zdawała sobie sprawę z faktu, że w domu, kilka komnat obok leży jej umierający mąż, któremu po latach odnowiły się rany, zadane w służbie królewskiej. Dla niego nie było już ratunku, śmierć nadchodziła nieuchronnie, była coraz bliżej, już zdawał się słyszeć klekot jej kości. Ale i Niemierza akceptował jej związek z Kazimierzem. Sam od lat niemocem spełniać obowiązki małżeńskie, jako wierny uwielbiający swego króla poddany cieszył się każdą Kazimierzowską wizytą, bo to dawało jedyną radość jego żonie. Bez zmruczenia powieki uznał synów za swoich, co było wystarczającym potwierdzeniem aprobaty, wszak Niemierza umiał policzyć miesiące. Cudka doceniała wspaniałomyślność męża, opiekowała się nim z całą starannością, była dla niego najlepszą żoną we wszystkim oprócz łoża. Tam już mąż nie był w stanie nic zrobić, a jej bujna, rozkwitła kobiecość potrzebowała mężczyzny i związek z Kazimierzem zapełniał ten niedostatek. Zresztą, zwrócił na nią uwagę sam król, pan życia i śmierci poddanych, to on wybrał Cudkę spośród tylu innych niewiast. Wielbiła więc Kazimierza, starała się dać mu wszystko czym mogła go ukoić, dzieliła swoją miłość na siostrzaną do Niemierzy, matczyną dla dzieci i kobiecą dla kochanka. O nie, Baryczka nie odwiedzie jej od króla, nie spowoduje, że Cudka zrezygnuje z części życia. Związek z Kazimierzem to rodzaj sprawiedliwości wobec niej, uzupełnienie i spełnienie powołania kobiety przy niemożności męża. Ilekroć pomyśli o królu, oczy zaczynają jej błyszczeć, po ciele rozchodzi się błogie ciepło, a wyobraźnią targa podniecający dreszczyk. Nie Cudka za nic nie wyrzeknie się tej miłości, niechby i tysiąc Baryczków potępiło ją i groziło stosem piekielnym. Takich argumentów mogą używać tylko ci, którzy kochania całym sobą nigdy nie zaznali, którzy oprócz potrzeb fizycznych nic nie czują, którzy... ach, oni nawet nie mają serca tylko mięsień i tak żyją w swoim prostactwie duszy! Nie, Cudka nigdy takim nie ulegnie, aby zrezygnować z Kazimierza, musiałby cały świat się zawalić, nastąpić coś strasznego, a to przecież niemożliwe.

* * *

Król przymrużył oczy. Nie chciał patrzeć na kręcącego się między muratorami Kochana. Wierny sługa, jak zresztą oni wszyscy, ale właśnie przez to przywiązanie stał się Kochan mimowolnym sprawcą nieszczęścia. Tamto fatalne zdarzenie, ciągle odpędzane przez umysł Kazimierza, nieustannie, wręcz natrętnie i uporczywie wracało, niczym bezskutecznie odpędzana osa. Jawiło się półmrokiem wawelskiej komnaty, gdzie król odpoczywał po wieczery i majaczącą aż pod sufity na tle kominkowego ognia postacią wikarego Baryczki. Z całej tyrady mnicha wybijały się słowa: rozpustnik, lubieżnik, bez poszanowania dla prawowitej małżonki,

kłątwa papieska. Król nic nie odpowiada, tylko świdruje Baryczkę coraz bardziej ponurym wzrokiem. W głowie aż kłębi się od złych myśli. Czyliż nie mam prawa do normalnego życia? Wystarczająco mnie doświadczyło najpierw bezdzietną Aldoną, teraz bezpłodną i brzydszą od swoich dziobów po ospie Adelajdą. Gdyby dała mi potomka, co było warunkiem mariażu, poświęciłbym swoje marzenia o pięknej połowicy. Zrobiłbym to dla królestwa. Ale tak? W imię czego? I co mi ten mnich bredzi o kłątwie papieskiej, to nigdy nie nastąpi, w Awinionie nie wyrzekną się świętopietrza, które tylko Polska im płaci. Kazimierz coraz bardziej irytuje się tą gadaniną, w jego oczach już czai się złość, lada moment wybuchnie niepohamowana piastowska popędliwość. Baryczka nie dostrzega niebezpieczeństwa, niesiony swoim ascetycznym przesłaniem gromi coraz potężniej. - I graf heski gotów zerwać przymierze, jeżeli nie przywrócisz Adelajdy do swego łoża. Wiem o tym...

- Zamilcz! - krzyknął Kazimierz zrywając się z fotela. Naczynie złości wypełniło się po brzegi, teraz mogło szukać tylko ujścia. - Jak śmiesz pouczać swojego króla! Kto cię upoważnił do mówienia w imieniu grafa Hesji! To zdrada! - król walnął ręką w stół tak mocno, że aż przewrócił stojący tam roztruchan z wieczornym winem. W swej pasji Kazimierz już na nic nie zwracał uwagi, teraz był bezwzględny władcą, któremu nie wolno się przeciwzić. - Kochan! - ryknął - sam tu! Zabierz tego przecherę i do lochu z nim! Sługa, który wpadł do komnaty na zawołanie, natychmiast chwycił Baryczkę i przekazał w łapy dwóch potężnych pacholków ze straży. Kiedy wikarego wyprowadzono, król wstrzymał Kochana. - Utop go w Wiśle - rzucił - jeszcze dzisiaj! Kochan spojrzał przerażony. Twarz Kazimierza wyrażała samo okrucieństwo, oczy, usta, brwi, wszystko kazało rozkaz wykonać. Spróbować sprzeciwić się, znaczyło samemu położyć głowę pod topór. Sługa pokłonił się w milczeniu. Wola władcy zostanie spełniona.

* * *

Stali naprzeciwko siebie. Z jednej strony Kazimierz, wysoki, teraz przygarbiony brzemieniem winy, z drugiej oddzielona od niego szeroką ławą Cudka. Niewiasta wyglądała przepięknie, miała na sobie błękitną suknię, pięknie dobraną kolorem do wielkich i smutnych oczu, wabiła też tęskny wzrok króla przepyszny zestawem kobiecych kształtów, które można było przyrównać tylko do posągów Afrodyty. Taką właśnie kobietę Kazimierz teraz tracił.

- Nie mogę - mówiły zamienione w podkówkę usta Cudki - bardzo bym pragnęła, ale nie mogę. Kocham cię królu, tak jak tylko kobieta miłuje wybranego mężczyznę, ale śmierć stoi między nami. Kazałeś zabić, mówisz, że to dla mnie, ale ja nie przyjmę takiej ofiary, która budzi we mnie tylko wstręt i bojaźń. Wszak to była osoba duchowna, protegowany samego biskupa Krakowa. Obraziłeś tym cały kościół, a i papież tego nie daruje.

- Cudko - Kazimierz wyciągnął ku niej ręce - proszę, nie odchodź ode mnie. Ten księżyna bruździł przeciwko naszej miłości, do której jako ludzie mamy pełne prawo. Chcesz zostawić mnie teraz, kiedy mąż twój umarł, kiedy jesteś wolna i sakrament nie stoi na przeszkodzie? Teraz? Przecież byłaś ze mną, kiedy naprawdę było to grzechem, czemu nie chcesz zostać, kiedy żadna kłoda między nami nie leży... O, Cudko, miłuję cię ponad wszystko, nie ostawiaj mnie samego w niedoli, nic nie stoi nam na przeszkodzie, papieżem się nie turbuj, odprowadzę pokutę. A dla ciebie, dla ciebie Cudko wybuduję kościół na przebłaganie. Nie opuszczaj mnie...

- Zabiłeś - głucho powtórzyła Cudka. - Nie mogę czegoś takiego znieść, trup stoi między nami..., nie mogę.

- Ktokolwiek zechce nas rozłączyć...

- To co? - przerwała Cudka. - Jego także każesz utopić? Ilu śmierci będzie trzeba, byśmy mogli kochać się na ich marach? Przecież potępia nas wszyscy, czy każesz wszystkich pozabić? Ja nie potrafię miłować za taką cenę. Bylibyśmy tylko coraz bardziej nieszczęśliwi, wytykani palcami przez cały świat, w końcu sami dla siebie wstrętni... Nie, Kazimierzu, musimy

się rozstać dla naszego dobra i dla dobra Królestwa. Odejdź już, królu, twoja obecność tylko przedłuża naszą mękę... – Cudka proszącym gestem wyciągnęła rękę w stronę wyjścia.

– Ukochana – Kazimierz wskazał za jej gestem drzwi – tam za nimi nic nie ma, tam jest tylko zimna polityka i walka. Wszystko, co kocham jest z tobą, w tej komnacie, tylko tu mogę wytchnąć, tu jesteś ty...

– Nie mogę. – płacząc powtórzyła Cudka – Odejdź już, nie mogę...

* * *

Będzie kościół w Kargowej. Król już zbiera się do odjazdu z całym swoim dworem, na placu zostaną budowniczowie, by postawić świątynię do końca. Zręby już są, reszta rośnie coraz wyżej...

Kazimierz po raz ostatni przystanął przy stosach cegieł, patrzył, jak muratorzy sprawnie kładą kolejne warstwy murów świątyni. Przypomniały się królowi słowa nuncjusza: - postawisz za pokutę cztery kościoły, na północy, południu, wschodzie i zachodzie swojego państwa. Dopiero po ich zbudowaniu grzech zabójstwa zostanie ci odpuszczony. Ten kościół jest właśnie czwarty, trzeci – król postawił w dalekim Włodzimierzu na wschodniej rubieży. To już koniec ekspiacji, papież już Kazimierzowi nie zagrozi anatamą. Została jeszcze Cudka...

Wysłał do niej błagalny list, napisał dlaczego na miejsce budowy kościoła wybrał Kargową. Dla ich miłości, aby w jej imię uszanować pamięć ocalenia tutaj męża Cudki, aby ona przebaczyła i wróciła. Ciężko bez niej królowi, nie umie się znaleźć, tak mu brak ciepła, które tylko Cudka dawała. Czy ona przyjmie to wszystko sercem, czy zwróci się z powrotem ku niemu, czy zrozumie i złe zapomni? Czy powróci? Usłyszysz tęskne wołanie?

Cudko..., och Cudko...

* * *

Nie wróciła Cudka do Kazimierza, nie ostał się i ów pierwszy kościół w Kargowej. Spłonął kilkadziesiąt lat później pośród któregoś z wielkich pożarów, co tak często ogarniały średniowieczne miasta. Na miejscu tej świątyni postawiono następną dopiero w 1738 roku, tę z kolei po następnym pożarze zastąpiono w roku 1805 kościołem protestanckim. I wszystko dawniejsze uleciało do mroków przeszłości razem z dymem historii. Tylko tutejsi ludzie gadają jeszcze czasem, jak było naprawdę.

* * *

Różnie interpretują te wszystkie wiadomości późniejsi historycy, o liście królewskim do Cudki i o kościele w Kargowej. Kronikarz Długosz całkowicie pomija Cudkę, ba, przypisuje jej synów Żydówce Esterce. Wiemy jednak, że szacowny kronikarz starał się Kazimierza wybielać i celowo umniejszał liczbę jego miłości. Także niektórzy współcześni nam badacze, chociaż nie podważają istnienia kasztelanki i jej romansu z królem, to twierdzą z kolei, że kościół postawiony z tej miłości owszem i był, ale może wcale nie w tej Kargowej, tylko jakiejś innej, gdzieś opodal leżącej. Ja takim hipotezom nie wierzę, autentyczna we wszystkim jest właśnie napisana powyżej historia. Bo i ludzie by nie gadali...

*I nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. E. Paukszty pt. „Małe ojczyzny”
Kargowa 2005 r.*

Bruegel

Skąd tyle ciemności, tyle bielma w oku?
Czemu dzień oślepia nas swoją wrzawą
i noc pogrąża w śnie głębszym od śmierci?
O, ciemne, ciemne dzieje.
Myśliwi wychodzą o świcie, a kruki na śniegu
tkają nieustanną groźbę. Woda gotuje topiel
pod taflą z granitu, a w miastach zagłady
dzieci, skrzętne lemury, igrają na grobach.
Siarka, rtęć i sól pracują bez wytchnienia.
Czają się, niecierpliwą złowróźbne zastępy.
Tłuszcza pławi się w brudzie i omamie świata,
gdy Ikar spada z niebios, bo sięgnął po Światło.
Piękno, niedostępne, zamyka się w sobie
i nie ma nic ponad samotność Boga.

Odrętwiały drogi nie znające celu. Stygnie magma
proroctw. Zmierzch zimny zapada.
Nad pożogą chmur zorza krwawa wschodzi
najwspanialszy z mrocznych aniołów...

Gauguin

Korony podobłoczne, konary wiązania-niebios,
krwiobieg pni i gałęzi, przepych listowia,
zza skrzydeł, pióropuszy, wachlarzy, baldachimów,
zawszą patrzy na nas nieustanne Oko.

Boskość zamknięta w kształcie. Kształt
wyrazem treści. Doskonałość. Bóg mierzący
swą własną nieskończoną miarę, grający z niemożliwym,
z *nec plus ultra*.

I człowiek, którego stworzył na swoje podobieństwo:
diament wydarty pałającej nocy,
gwiazda spadła w ziemskie ogrody.

Ludzie-drzewa
ludzie-gazele
ludzie-motyle
ludzie-kwiaty

Cebu City, 1979

Reynolds

(Master Thomas Lister)

Chłopięstwo: przebłysk przeprawy
przez łańców świetlistych bezdroża.
Bo dokąd zmierza chłopiec?
Jeszcze trwa żegluga, jeszcze nie zaznana ziemia,
jeszcze toń mórz czysta i spokojna.
Jeszcze go osłaniają poszepty aniołów.
Skąd taka smukłość w chłopcu?
Taka zwiewność rąk?
Taka cielesność – bezcielesna?
Czy z brzoź, modrzewi, ulotnych akacji?
A głowy gest królewski
czy od gazeli wzięty?
A uśmiech jego, czy to kwiatów dar?
W jego oczach śpiewa dusza świata.

On spogląda w głąb swego spojrzenia:
wiosnę Boga
gdzie rodzi się słońce.

El Greco

*Żyje – nie żyjąc już w sobie –
Na życie tak wzniosłe spojieram,
Że umieram, bowiem nie umieram.*

św. Teresa z Ávila (tłum. T. Miciński)

Wokoło miasta mroczne. *Mare tenebrarum*.
I niebo skłębione dwuznaczną czeluścią.
Z wież tryska rozbłysk dzwonów. Nić pajęcza światła.
Biją źródła, ale nie dla nas, nikomu.

Bóg minął tę ziemię, spalił ją oddechem.
Skały tylko i piaski gorące.
Odleciał skrzydlaty. Oślepił nas blaskiem.
Tułamy się w pustkowiu, w bezpieczeństwa przestrzeni.

I tylko cień rośnie w tej martwej winnicy,
Cień złowrogi, który pożera nam trzewia.
Poczwarą braku, lewiatan niedosytu,
Opuszczenia, co obradza wina.

Jaka śmierć uśmierzy tak wielkie pragnienie?
Jakie życie wypełni taką przepaść śmierci?
Wzbijamy się łaknący jak bezlistne drzewa,
Strzępy Boskiego Ognia w nocy zagubione.

styczeń 1990

Poeta i tłumacz

Czesław Sobkowiak

Krzysztof Jeżewski jest przykładem pisarza, który twórczość oryginalną (uprawia poezję oraz eseistykę literacką i muzyczną) bardzo efektywnie splata z pasją translatorską. Urodził się 24 kwietnia 1939 roku w Warszawie, w rodzinie o bogatych tradycjach humanistycznych. Studia romanistyczne na Uniwersytecie Warszawskim miały decydujący udział w rozbudzeniu jego autentycznego zamiłowania, gdy idzie właśnie o przekład artystyczny. Wtedy to aktywnie zajął się tłumaczeniem nowoczesnej poezji francuskiej, co znalazło odzwierciedlenie w pismach literackich. Przybliżał polskiemu czytelnikowi utwory Laforgue'a, Michaux, Chara i innych francuskich surrealistów oraz takich autorów literatury hispano-amerykańskiej jak J. L. Borges czy O. Paz. Zarazem objawił się jego talent poetycki. Jeżewski debiutował w marcowym numerze „Poezji” (1968). O jego dalszej drodze życiowej zadecydował wyjazd w 1970 roku do Francji, w związku (jak pisze w nocie biograficznej do mojego dwujęzycznego zbioru „Podziemne słońca”) z *dlawiącym klimatem politycznym po Marcu 1968*. W rezultacie we Francji osiadł na stałe. Na Sorbonie odbył studia polonistyczne. Żywo włączył się w rytm emigracyjnego życia kulturalnego. Ważne, jeśli nie najważniejsze, bowiem owocem jest duży dorobek, jest to, że zarówno jego pasja translatorska jak i twórczość poetycka, mimo tej nowej, nie najłatwiejszej sytuacji osobistej, miały swoją kontynuację. Trwająca zresztą do dnia dzisiejszego. Stało się więc tak, że Krzysztof Jeżewski pełni niejako misję ambasadora kultury dwóch krajów. Z jednej strony sukcesywnie przybliża językowi francuskiemu dorobek „zwłaszcza Cypriana Norwida” (np. w 2004 roku wyszedł przekład „Vademecum” jego autorstwa), ale też dzieła wielu wybitnych współczesnych pisarzy polskich – ich lista jest całkiem pokaźna – a mianowicie: Witolda Gombrowicza, Czesława

Miłosza, Wisławy Szymborskiej, Andrzeja Kuśniewicza, Brunona Schulza, Jerzego Andrzejewskiego, Jana Pawła II, Marii Nurowskiej, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i innych. Zarazem dokonał wielu przekładów literatury francuskiej na język polski. Niektóre z tych prac ukazały się już jako książki drukiem, jak np. utwory Henri Michaux „Przestrzeń wewnętrzna” czy Octavio Paza „Wybór wierszy”, a z innymi stanie się to w najbliższej zapewne przyszłości. A po drugie, jest poetą, który opublikował dziesięć tomów wierszy, np.: „Księga snów” (1990), „Kryształowy ogród” (2000), „Popiół słoneczny” (2005), czy choćby rzecz, którą w maszynopisie, przygotowaną do druku, czytałem – „Płomień i noc”. Dodać wypada, że takie tomy jak: „Muzyka” czy „Kryształowy ogród” zostały przełożone na język francuski. Tej poezji, goszczącej na łamach „Pro Libris”, chciałbym poświęcić nieco uwagi. Rzadki to przykład twórczości, która kto wie czy nie odzwierciedla w ten sposób w dwójnasób emigracyjnej sytuacji lirycznej podmiotu, zwróconej w większym niż u wielu poetów stopniu ku dziełom sztuki wizualnej – malarstwa i rzeźby czy muzyki. Dowodów na tę pasję, noszącą znamiona głębokiej wewnętrznej konieczności i egzemplifikowanej racji światopoglądowej, w zbiorach Krzysztofa Jeżewskiego jest aż nadto wiele. O tym świadczą wprost tytuły wierszy. Wielu poetów, i byłoby dziwne gdyby było inaczej, czerpie z dzieł muzycznych i malarskich inspiracje i natchnienie dla swoich poetyckich przemyśleń. Wiemy jak ważne było np. dla Zbigniewa Herberta obcowanie z dziełami malarskimi, jak regularnie pojawiają się tego typu wątki w wierszach Jacka Łukasiewicza, jak obecne były u Jarosława Iwaszkiewicza i wielu innych. Natomiast w obszarze poezji Jeżewskiego mamy do czynienia z potraktowaniem – powiedziałbym – warstwy wizualnej, tego co jest przedstawio-

ne na oglądanych, a można i należy napisać, że raczej kontemplowanych płótnach wielkich, klasycznych malarzy europejskich z różnych epok, w różnych zapewne (trzeba to sobie wyobrazić) muzeach Europy, więc mamy do czynienia z potraktowaniem tej warstwy jako głównej rzeczywistości. Której sekret odkrywany jest stopniowo w akcie patrzenia. Wymaga ten kontakt, jak zawsze kontakt ze sztuką, znajomości materii estetycznej, niebagatelnej erudycji, by możliwe mogło być swoiste splecenie jej z osobistymi przeżyciami i intencjami. Jest coś na pewno niebagatelnego, jeśli poeta potrafi uzyskać na drodze tak realizowanego wysiłku własną całość. Można sądzić, że patronuje tej pasji przekonanie niemieckiego filozofa i myśliciela F.W.J. Schellinga, że *Plastyka, to sztuka, która przedstawia nieskończoność w języku skończoności*. Jej treść, sfera obrazowa, a raczej tkwiące w niej przesłanie filozoficzne domaga się podjęcia dialogu, nawiązania głębokiego wewnętrznego kontaktu przez poetę, dodajmy współczesnego poetę, który wie, że on sam pochodzi z innego już świata, współczesnego świata rozbitych wartości, zwątpienia, powszechnej laicyzacji życia tudzież desakralizacji form samej sztuki. A przecież pochodzi zarazem ze świata tych wszystkich idei i wartości, które legły u podstaw Wielkiej Sztuki. Ujmującej świat w odniesieniu i poprzez pryzmat sacrum. Kontemplujący poeta zdaje sobie sprawę z wagi zagadnień i duchowych wizji, które oglądane przez niego malarstwo zawiera. Stara się te problemy nazywać (np. „Rublow”, „Szamiakin”), wchodząc w zapisaną w nich duchowość, więc nie na zasadzie bardzo przedmiotowego czy ilustracyjnego li tylko potraktowania, lecz przez świadome otwieranie sfery własnej duchowości. Przez chęć objęcia istoty tych dzieł i własnego przekonania, które również silnie dotyczy doświadczenia metafizycznego. Oczywiście siłą rzeczy, bo trudno inaczej sobie wyobrazić pisanie wierszy inspirowanych sztuką, stara się za każdym razem, na swój sposób, dać Jeżewski ich poetycki konieczny opis. Przedstawia niekiedy całą

zmysłowość, materialną realność i uobecnioną symboliczność jej znaczeń. Albowiem ukazując te rzeczy mówi o swoim sposobie patrzenia i swojej wizji poetyckiej, którą tworzy. Tak więc jest ta poezja rodzajem przygody poznania oraz zapisania dramatycznie potrzebnych doświadczeń religijnych, odnoszących się do sensu ludzkiego bytowania, tajemnicy istnienia, metafizyki wreszcie, bez których można mówić o socjologicznych, egzystencjalnych, moralnych i psychologicznych uwarunkowaniach, ale nie o pełnym rozumieniu miejsca człowieka w świecie. Malarstwo El Greca, Rembranta, Bruegla, Böcklina czy innych malarzy osadzone jest w wierszach Krzysztofa Jeżewskiego w nurcie tego typu poszukiwań. Jego poezja stara się nadać nie tylko z uczestnictwem percepcyjnym, lecz poprzez horyzont, jakim dysponuje słowo sprawić, by w obrębie wiersza myśl i przeżycie uzyskiwały autonomiczny kształt. W jego centrum wieczność i piękno tworzą nierozzerwalny związek. Potrafi współczesny poeta tego typu dyskurs prowadzić nie tylko w odniesieniu do dawnego malarstwa, gdzie temat sam w sobie wiele wyjaśnia, ale i dzieł Gauguina, van Gogha, Chagalla, Picassa lub Braque’a. Tak więc okazuje się, iż usytuowanie podmiotu lirycznego w tej wybitnie kulturowymi formami nacechowanej przestrzeni stało się dla niego niezwykle pomocne we wskazaniu na własny, wyznawany przez siebie świat. Paradoksalnie mamy do czynienia z dwukierunkowym działaniem. Malarstwo jako temat stanowi punkt dojścia. Poeta chce jego przestrzeń jak najpełniej przeniknąć, ale też stanowi punkt wyjścia do własnej prawdy. Trzeba powiedzieć, że w ten sposób Krzysztof Jeżewski przypomina wartości i wzory duchowe, które unaoczniają dramatyczne zmaganie z sensem, znajdowaniem go i ciągłym poszukiwaniem. Tak przejrzyste i wielowymiarowo niewielu poetów dzisiaj nawiązuje do wpisanych w kondycję kultury europejskiej treści mistycznych. Nie tylko dotyka cudu istnienia, ładu, ale wskazuje zarazem naprawdę nieprzemijającą, czystą realność, której nie zamąca ani nie obejmuje złudzenie ziemskich pasji, owego „brudu i omamu świata”.

Na Zachodnią Ulicę

Wiem, że przyniesiesz mi nieśmiertelność, dzika ulico.
Jesteś cieniem mojego życia.
Przeszywasz moje noce pewnym i prostym pchnięciem szpady.
Twoje gwiazdy nagradzają moją włóczęgę, trud po trudzie.
Śmierć – burza ciemna i nieruchoma – rozproszy moje godziny.
Ktoś pozbiera moje kroki, przywłaszczy sobie moją nabożność
i tę gwiazdę.
(Dał niby szerokie tchnienie wiatru musi chłostać jej drogę).
Pogodny szlachetną samotnością zawiesi to samo pragnienie na
twoim niebie.
To samo pragnienie, którym jestem sam.
Zmartwychwstanie w jego przyszłym podziwieniu istnienia.
W tobie, kiedyś znowu:
Ullico, która otwierasz się boleśnie jak rana.

Emanuel Swedenborg

Wyżej od innych wędrował
Ten człowiek daleki pośród ludzi;
Niemał że nazywał anioły tajemnymi
Imionami. Dostrzegał to
Czego nie widzą ziemskie oczy:
Płonącą geometrię, kryształowy
Gmach Boga i plugawy wir
Piekielnych rozkoszy.
Wiedział, że Sława i Piekło
Są w twojej duszy i jej mitologiach.
Wiedział jak Grek, że dnie
Czasu są zwierciadłami Wieczności.
W suchej łacinie zapisywał
Rzeczy ostateczne bez kiedy ni dlaczego.

Rękopis znaleziony w jednej z księzek Josepha Conrada

W łonie drżących połąci ziemi, które tchną latem,
Dzień jest niewidoczną, czystą bielą. Dzień
Jest okrutną rysą na żaluzji,
Blaskiem na wybrzeżach i gorączką na równinie.

Ale przedwieczna noc jest głęboka jak dzban
Z wklęsłą wodą. Woda otwiera się na nieskończone ślady
I w beczynnych łodziach, twarzą do gwiazd,
Człowiek mierzy cygarem nieuchwytny czas.

Szary dym zaciera dalekie konstelacje
To, co bliskie, traci prehistorię i imię.
Świat to kilka miękkich niejasności.
Rzeka, pierwsza rzeka. Człowiek, pierwszy człowiek.

Na przykład I Cing

Przyszłość jest tak nieodwołalna
Jak zdrętwiałe wczoraj. Nie ma rzeczy
Nie będącej milczącą literą
Wiecznego pisma nie do odczytania,
Którego księgą jest czas. Kto oddał się
Od swego domu, ten już powrócił. Życie nasze
To ścieżka przyszła i przebieżona.
Nic nas nie żegna. Nic nas nie opuszcza.
Nie poddawaj się. Karcer jest ciemny
I wątek silny z nieustannego żelaza,
Ale w jakimś zakątku twój więzienia
Może się znaleźć rysa, przez niedopatrzenie.
Droga jest nieuchronna jak strzała,
Ale ze szczelin śledzi nas Bóg ukryty.

tłumaczenie Krzysztof Jeżewski